

60

EGZ. OBOW.



INFORMATOR

KRAJOZNAWCZY

POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE
ODDZIAŁ WROCŁAWSKI
KOMISJA KRAJOZNAWCZA

INFORMATOR KRAJOZNAWCZY

Zeszyt 60

Wrocław, lipiec 1991

Zespół redakcyjny:

Alfred Niemiec

Eugeniusz Rachwalski

Jerzy Załęski

Redaktor odpowiedzialny zeszytu:

Jerzy Załęski

Odpowiedzialna za kolportaż:

Irena Koziol

Adres redakcji:

Oddział Wrocławski PTTK Komisja Krajoznawcza
50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, tel. 303-44

DZIEWIĘTNASTOWIECZNE PSZCZELARSTWO GÓRNOŚLĄSKIE.

Niemal od samego początku XIX stulecia obserwuje się na Górnym Śląsku stosunkowo spory spadek ilości pni pszczelich. Zjawisko to nie było zresztą jakąś specyficzną cechą tylko tej dzielnicy i miało o wiele szerszy zasięg. Bartnictwo i pasiecznictwo górnośląskie w pierwszej połowie XIX wieku było bowiem skostniałym amatorskim zajęciem przyzagrodowym, obwarowanym licznymi przesądami, wynikającymi z panującej wtedy zabobonności wśród ludności wiejskiej.

Jednakże, podobnie jak w innych działach gospodarki rolnej, również i w tej dziedzinie dawały już o sobie znać szybkie przemiany w życiu gospodarczym społeczeństw zmierzających do kapitalistycznego systemu ekonomiki. Gwałtowny rozwój przemysłu oraz wzrost liczby ludności, zwłaszcza miejskiej, zmuszały niemal wszystkie działy gospodarki rolnej do znacznie intensywniejszej i wydajniejszej pracy. W pewnym stopniu dotyczyło to także pszczelarstwa. Chociaż z drugiej strony zniszczenia z okresu wojen napoleońskich, a szczególnie odkrycie możliwości produkcji cukru z buraków cukrowych, spychały znaczenie miodu jako produktu powszechnego użytku na dalszy plan.

Kiepski stan pszczelarstwa śląskiego w pierwszej połowie XIX stulecia poważnie niepokoił władze pruskie. Odpowiednie czynniki rządowe starały się wszelkimi możliwymi środkami popierać i propagować jego rozwój. Mimo tego, według relacji nadprezydenta prowincji von Mercela z 1828 roku, na Górnym Śląsku prawie nigdzie nie prowadzono "racjonalnego" chowu pszczół. Twierdzenie to odnosiło się w pierwszym rzędzie do gospodarstw chłopskich. W dwadzieścia lat później słychać było podobne utyskiwania na niemal powszechnie zaniedbanie tej gałęzi hodowli. Zresztą już w 1803 roku znany pisarz śląski Sinapius nadmieniał, że pszczelarstwem zajmowano się tutaj raczej więcej dla zabawy, niż jako osobną dziedziną gospodarki.

Aliści w drugiej połowie XIX stulecia nastąpiły wprost rewolucyjne zmiany w technice pszczelarskiej. Szczególnie wiele w podźwignięciu podupadłej na Górnym Śląsku w pierwszej

połowie XIX wieku gałęzi gospodarki zdziałał ksiądz Jan Dzierżoń - Kopernik ula, jak go nazwał Stanisław Wasylewski.

Dzierżoń urodził się 11 stycznia 1811 roku w rodzinie bogatego chłopa dziedzicznego w byłej wsi kościelnej Łowkowie, w ówczesnym powiecie kluczborskim. Kariere życiową rozpoczął, wzorem większości zdolniejszych synów chłopskich, od studiów teologicznych na uniwersytecie wrocławskim. Studiował tu w latach 1830-1833.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich Dzierżoń został wikarym w Siolkowicach w Opolskiem, a następnie otrzymał ubogie probostwo w Karłowicach w powiecie brzeskim. W latach 1833-1869 był początkowo administratorem, później zaś proboszczem tej parafii. Tutaj też - częściowo z potrzeb materialnych, częściowo z ojcowskich tradycji oraz z własnego zamiłowania - rozpoczął działalność jako znakomity pszczelarz, uzyskując miano "księcia pszczół na Karłowicach". (W 1935 roku ukazał się utwór Włodzimierz Żelechowskiego "Książę pszczół", poświęcony pamięci księdza Jana Dzierżonia).

Na skutek zatargu z władzami kościelnymi w sprawie uchwalonego w 1870 roku przez sobór watykański dogmatu o nieomyślności papieża, jak również w związku z niezbyt sumiennym wykonywaniem obowiązków kapłańskich, Dzierżoń usunął się z probostwa karłowickiego, chociaż aż do 1884 roku pozostawał nadal w tej miejscowości. Dopiero później przeniósł się do swego bratanka mieszkającego w Maciejowie, leżącym nieopodal rodzinnych Łowkovic. Tutaj 26 października 1906 roku zmarł. Był on w owych czasach niewątpliwie jednym z najstawniejszych w świecie Górnoślązaków.

Nowe pszczelarstwo stosunkowo najwcześniej zaczęło się rozpowszechniać na Śląsku i w Poznańskim. Ksiądz Dzierżoń należał do prekursorów tego społecznego ruchu pszczelarzkiego, który po upływie kilkudziesięciu lat rozrósł się na skalę światową. Wykazał on mianowicie w praktyce do jakich rozmiarów można doprowadzić hodowlę pszczół w oparciu o nowe, postępowe i racjonalne metody.

Na plebani karłowickiej powstała pasieka, która z czasem doszła do pół tysiąca niezwykle - jak na owe lata - wydajnych rojów. W ten sposób Dzierżoń pragnął udowodnić słuszność tezy entuzjastów postępu i pracy organicznej, że również chłop, nawet uboższy, ma możliwość poprawy własnego bytu, chociażby poprzez uprawianie pszczelarstwa. Proponował on również zakładanie gminnych spółek pszczelarskich, głównie przez ludzi wysłużonych.

11 lutego 1847 roku w Kopicach pod Grodkowem trzystu śląskich zapaleńców pszczelarstwa założyło Śląskie Towarzystwo Pszczelne. Była to jedna z pierwszych tego rodzaju organizacji w Europie. Prezesem jej został Wilhelm Brukisz. Uchwalone na inauguracyjnym zjeździe "Ustawy Towarzystwa Pszczelnego", wyraźnie zalecały popularyzowanie rewelacyjnych podówczas metod hodowli pszczół, metod odkrytych przez Dzierżonia. Uchwały zalecały bowiem nie tylko rozpowszechnianie publikacji Dzierżonia na tematy pszczelarskie, ale zobowiązywały członków Towarzystwa do wspólnego odwiedzania przynajmniej raz w roku pasieki karłowickiej, aby w ten sposób upowszechnić stosowane w niej metody hodowli i spopularyzować nabywanie jego nowoczesnych uli.

Dzierżoń nie ograniczał się tylko do prac praktycznych w swej pasiece, lecz poczynione w niej udoskonalenia i najciekawsze spostrzeżenia nad życiem pszczół popularyzował słowem pisany w licznych publikacjach. Właśnie dzięki tym publikacjom zdobył światową sławę.

Działalność pisarską rozpoczął już w 1845 roku, kiedy to w fachowej prasie niemieckiej i w ukazującym się w Pszczynie "Tygodniku Polskim" zaczął zamieszczać artykuły na tematy pszczelarskie. Na przykład w samej tylko "Eichstädter Bienenzeitung" ukazało się aż 334 jego artykuły bądź polemiki z zakresu apidologii.

Jeśli idzie o publikacje książkowe Dzierżonia, to pierwszą z nich było napisane wspólnie z Brukiszem "Nowe udoskonalone pszczelnictwo", które ukazało się prawie równocześnie w języku niemieckim i polskim. Tłumaczem na język polski był Józef Lompa. W późniejszym okresie książka ta miała szereg dalszych wydań, w sumie sześć niemieckich oraz trzy polskie (Nowe Piekary 1850, Leszno 1851 i 1859).

Pierwszą samodzielną książką Dzierżonia była wydana w Brzegu w 1847 roku "Theorie und Praxis des neuen Bienenfreudes". Również i ta praca miała szereg kolejnych wydań (Kluczbork i Syców 1849, Brzeg 1855, Quedlinburg - Lipsk 1857 i 1861, wreszcie wydanie piekarskie bez daty). W 1852 roku ukazało się w Nordlingen uzupełnienie do tej książki, zatytułowane "Nachtrag zur Theorie und Praxis..." Rok później w Lesznie wydano polskie tłumaczenie tej pracy, pod tytułem "Dodatek do teorii i praktyki nowego pszczolorza".

Głównym jednak dziełem Dzierżonia była praca "Rationelle Bienenzucht", która po raz pierwszy wyszła w Brzegu w 1861 roku. Przełożono ją wnet na język angielski i duński. Wreszcie w 1890 roku ukazała się książka "Der Zwillingstock". W latach 1854 - 1856 wydawał Dzierżoń miesięcznik pszczelarski "Der Bienenfreund aus Schlesien". Łącznie ukazało się trzydzieści zeszytów tego czasopisma.

W uznaniu zasług Dzierżoń otrzymał kilkadziesiąt członkostw honorowych. Już w 1872 roku uniwersytet w Monachium nadał mu honorowy stopień naukowy: doctor honoris causa. W ślad za tymi wyróżnieniami posypały się również ordery. Wyrazem godnej podziwu działalności i żywotności było jego częste czynne uczestniczenie w międzynarodowych zjazdach i spotkaniach pszczelarzy, na których wspólnie ze swymi zwolennikami z niezwykłą zarliwością bronił swoich teorii.

Z kolei warto zobaczyć - chociażby w najogólniejszych zarysach - na czym polegała nowa metoda hodowli pszczół, zastosowana i praktykowana przez Dzierżonia, a następnie szeroko rozpowszechniona przez krąg jego zwolenników.

Metoda Dzierżonia przyniosła pszczelarzom niemal całkowite panowanie nad wewnętrznym życiem pszczół w ulu. Do czasów tego odkrycia pszczoły były w gruncie rzeczy dzikimi owadami, słabo znanymi nawet hodowcom. Właściwie rzecz biorąc, człowiek tylko wykradał produkt ich ciężkiej pracy. Niszczył przy tym wewnętrzne urządzenia uli i zabijał setki tych pracowitych swoich dobroczyńców. Od czasów Dzierżonia sytuacja uległa zmianie: pszczoły stały się "zwierzętami domowymi", podobnie jak inne trzymane po zagrodach zwierzęta hodowlane.

Panowanie hodowców nad rojami pszczelimi przejawiało się przede wszystkim w możliwości wpływania na rozmnażanie się tych owadów. Umożliwiły to właśnie genialne spostrzeżenia Dzierżonia. Dalej, dzięki podpatrzeniu na czym polega mechanizm pracy pszczół, można było teraz świadomie wpływać na wydajność ich pracy, pomagać im w mozolnym trudzie oraz oszczędzać ich energię i polepszać jakość produktu, to znaczy miodu.

Dzierżoń był także konstruktorem ula rozbiernego, który zajął miejsce stosowanego

dotychczas w praktyce ula kłodowego, wydfubnywanego w jednolitym pniu. Początkowo z takich właśnie uli składała się także pasieka Dzierżonia. Jednak stosunkowo rychto przeszedł on na stosowanie ula magazynowego Christa.

Najważniejszym udoskonaleniem Dzierżonia było uruchomienie plastrów, dzięki czemu można było wyjmować je z ula wraz z miodem lub z czerwiem bez uszkodzenia woszczyń oraz dowolnie przenosić i dzielić roje. Co prawda, nie on pierwszy wpadł na taki pomysł. Ruchomy plaster zeny był już w starożytności. Ale zasługą Dzierżonia było przede wszystkim to, że dzięki działalności organizacyjnej, popularyzatorskiej i naukowej zdołał narzucić szerokiej praktyce pszelarskiej tę nową technikę, która zrewolucjonizowała całą dziedzinę pszczelarstwa. Trzeba bowiem wyjaśnić, że w okresie letnim do Karłowic przychodziły setki listów z prośbami o radę i pomoc, wychodziły zaś setki przesyłek z matkami i listami z poradami.

W używanych w swojej pasiece ulach Dzierżoń zaczął zawieszac wąskie listwy, zwane snozami, które ułatwiały pszczołom regularne rozbudowywanie plastrów w dół. Stosowany typ ula genialny pszczelarz stale ulepszał, łączył poszczególne ule w pary, czwórki bądź ósemki, układał je poziomo lub spiętrzał, oszczędzał na materiale, a co ważniejsze, zwiększał ciepłość pomieszczeń.

Ul Dzierżonia stał się więc pierwowzorem bodaj wszystkich późniejszych ulepszonych pszczelich domków. Właśnie te udoskonalenia spowodowały, że od tamtąd już nic nie mogło ukryć się w ich mrokach przed dociekliwością hodowcy, który zaczął panować nad całą produkcją pszczoł.

Dzięki obserwacjom poczynionym nad setkami rojów, w łatwo dostępnych wnętrzach uli snozowych, Dzierżoń stwierdził jednorodność wszystkich pszczoł w roju. Był on odkrywcą tak zwanej partenogenezy, to znaczy dzieworódtwa pszczoł. Stwierdził mianowicie, że pszczoła matka jest jedyną w pełni rozwiniętą samicą w roju. Ze składanych przez nią jajeczek zapłodnionych lęgną się pszczoły robotnice, zaś z niezapłodnionych - trutnie. Natomiast z jajeczek składanych przez robotnice tylko trutnie.

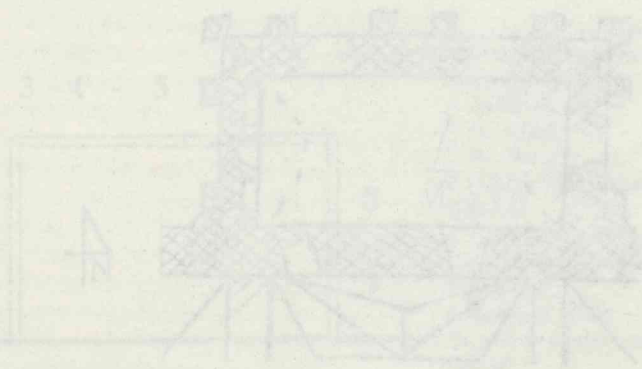
Początkowo teoria dzieworódtwa pszczoł napotykała na bardzo silny opór w świecie pszczelarskim i przyrodniczym. Po wieloletnich dyskusjach i polemikach niemal pod sam koniec długiego żywota Dzierżoń doczekał się ostatecznego uznania swej teorii. Stało się to na kongresie przyrodników w Marburgu w 1906 roku.

Bogate tradycje pszczelarstwa górnośląskiego przetrwały po dzień dzisiejszy. Oprócz hodowli gołębi i gry w skata, trzymanie pszczoł jest bowiem jednym z najczęściej spotykanych hobby wśród górników i hutników górnośląskich. Niemniej jednak, tak jak przed wiekami, również i dziś większość tutejszych pszczelarzy stanowią amatorzy, a pszczelarstwo górnośląskie w całym XIX stuleciu już nigdy nie osiągnęło stanu sprzed wojen napoleońskich.

Wybrane piśmiennictwo.

1. H. Helmann, Die Bienenzucht in Oberschlesien, "Rubezahl der Schlesische Provinzialblätter", 1866, s. 503-505.
2. J. C. Sinapius, Schlesien in merkantilischer, geographischer und statistischer Hinsicht, Sorau 1803, Band 1-2.

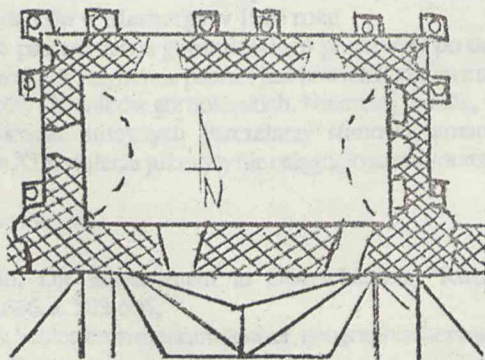
3. W. Ogrodziński, Dzieje piśmiennictwa śląskiego, Katowice 1946.
4. H. Waniczkówna, Książd Jan Dzierżoń, "Śląsk", 1946, nr 5/6, s. 24-26.
5. A. Gładysz, Jan Dzierżoń, Opole 1961.
6. Z. Hierowski, 25 lat literatury na Śląsku, Katowice 1947.
7. P. Knötel, Oberschlesien einst und jetzt, Kattowitz 1909.
8. O. Wilpert, Der Kreis Gross-Strehlitz, Gross-Strehlitz 1909.



KAPLICE LORETAŃSKIE NA ŚLĄSKU. (CZ. II)

Kaplica Loretańska w Lubiążu.

Usytuowana jest ona w obrębie zespołu pocysterskiego. Przylega od zewnątrz do północnego ramienia transeptu kościoła klasztorного pw. NMP. Obiekt ten, mimo znakomitej klasy, nasuwa wiele pytań, na które brak jednoznacznych odpowiedzi. Sprawa pierwsza to datowanie kaplicy. H. Lutsch w swym inwentarzu zabytków Śląska¹⁾ czas jej powstania określa na ok. 1700 r. K. Kalinowski²⁾ zaś na ok. 1710 r. Monografistka kaplicy M. Żydowicz³⁾ znajduje liczne analogie formalne w zachodniej części kompleksu klasztorного (motyw niszy, liście akantu i in.), dolną granicę powstania Loreta określa na ok. 1715 r. (data ukończenia skrzydła zachodniego). Nie mogła też kaplica powstać po roku 1729, kiedy to wstawiono do niej nowy ołtarz. Wydaje się jednak, że występujące na elewacjach kaplicy formy ornamentalne nie pozwalają na przesunięcie datowania poza lata 1715-1720.



Kaplica Loretańska w Lubiążu. Rzut poziomy. Rys. autora wg M. Żydowicz, op. cit.

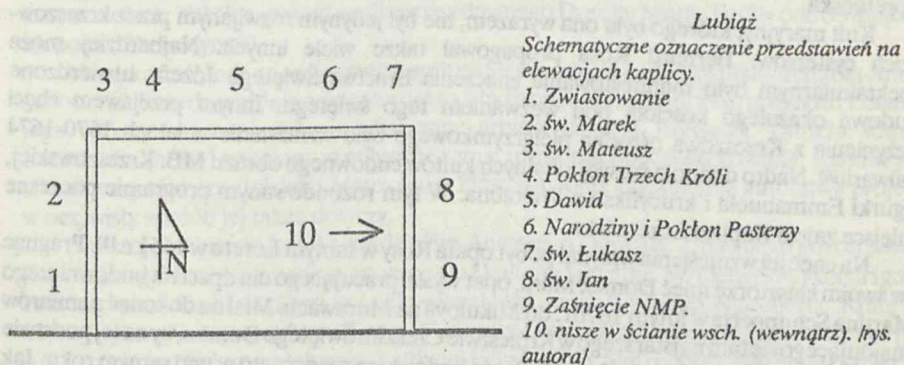
W kwestii autorstwa, K. Kalinowski⁴⁾ obala kolejne atrybucje o autorstwie budowniczego wrocławskiego J.J. Kalckbrennera, legniczanina M. Knothego, J. Mosera i M. Frantza. Przypuszcza on, że klasztor lubiąski (a tym samym omawiana kaplica) jest jedynym, głównym dziełem anonimowego artysty. M. Żydowicz sugeruje, że projektantem Loreta mógł być M. Steinel, brak jednak na to przekonywujących argumentów⁵⁾.

Zagadnienie autorstwa architektury łączy się z problemem atrybucji rzeźb kaplicy. Ich znakomita klasa, szczególnie typ ekspresji przejawiający się w oryginalnym kształtowaniu masywnych, ostro załamywanych draperii, pasuje je jako dzieło na Śląsku odosobnione. M. Żydowicz próbuje z Mangoldtem lub Steinlem, zaś K. Kalinowski przypisał je ostatnio F.A. Kuenowi, co pozwoliło mu uściślić datowanie samej kaplicy na lata 1716-1719⁶⁾.

Niewiele dat z dziejów Santa Casa w Lubiążu można przytoczyć. Wiadomo, że po sekularyzacji klasztoru, w 1816 r. kaplicę zamieniono na zakrystię, usuwając tym samym wyposażenie. Z tego też czasu pochodzi niewielkie okienko w ścianie wschodniej, wybite w celu doświetlenia mrocznego wnętrza⁷⁾. W 1936 roku przeprowadzono renowację obiektu, w tym m.in. rzeźb. Jej koszt wyniósł 10233 DM⁸⁾.

Na lata powojenne przypada postępująca dewastacja kaplicy, służącej m.in. jako składzik materiałów budowlanych.

Kaplica o kolumnowych podziałach elewacji, nakryta jest dachem pulpitowym, stanowiącym łagodne optycznie przejście od wąskiego, gotyckiego okna północnej ściany transeptu do szerokiej, przysadzistej nieco bryły Loreta. Nie wdając się w szczegółowy opis elewacji i jej bogatego wystroju rzeźbiarskiego stwierdzić wypada, że w warstwie formalnej lubiąska Kaplica Loretańska jest dość wierna pierwowzorowi. Inaczej rzecz ma się z ikonografią. O ile na płaskorzeźbach przedstawiono występujące wcześniej sceny (kolejno od zachodu): Zwiastowania, Pokłonu Trzech Króli, Narodzin i Pokłonu Pasterzy (jedna scena) oraz Zaśnięcia NMP, to w niszach brak tradycyjnie umieszczanych w tym miejscu proroków i Sybilli. W Lubiążu mamy natomiast posąg Dawida (po środku fasady - elewacji północnej), oraz czterech ewangelistów. Ich rozpoznanie jest utrudnione, albowiem brak im atrybutów. Jedynie postać z elewacji zachodniej można jednoznacznie interpretować jako św. Marka, a



to dzięki znajdującemu się u jej stóp przedstawieniu Iwa. Pewną podstawę do rozpoznania pozostałych stwarza to, że tylko św. Łukasz i św. Mateusz opisują w swoich Ewangeliach narodziny Jezusa (Mt.1.18-2.12, Łk.2.1-2.21), oni to więc mogliby być przedstawieni w sąsiedztwie scen z tym związanych, a ukazanych na elewacji północnej. Nadto tylko św. Łukasz wspomina o poklonie pasterzy, on więc może być przedstawiony w sąsiedztwie tej sceny. Pozostaje wobec tego uznać postać po stronie prawej za św. Mateusza, zaś ewangelistę z elewacji wschodniej za św. Jana.

M. Żydowicz pojawienie się ewangelistów, miast jak dotąd proroków i Sybill, interpretuje jako przejaw potrydenckich reform Kościoła, uznających Ewangelie za fundament wiary⁹⁾. Wydaje się, że nie bez znaczenia były także względy formalno-kompozycyjne. Dostawiona do kościoła kaplica miała tylko trzy elewacje, na których nie można było zmieścić wszystkich dziesięciu proroków i Sybill, chcąc przy tym zachować jednocześnie system podziałów architektonicznych włoskiego pierwowzoru. Konsekwencją tego braku miejsca "złączenie" w jednym przedstawieniu scen Narodzin i Pokłonu Pasterzy, występujących dotąd osobno (Loreto, Praga). Zdecydowano się więc na ewangelistów.

W zakresie ikonografii maryjny charakter obiektu podkreślają występujące w płycinach cokołu gałązki orzecha.

Z wystroju wnętrza pozostały tylko nisze w ścianie wschodniej, staranne opracowanie otrzymała nisza górna, mieszcząca niegdyś figurę Marii.

Kaplica Loretańska w Krzeszowie

Prowadzonej przez opata Bernarda Rosę w czasie jego rządów w Krzeszowie (lata 1660-1696) rozbudowie i związanej z tym barokizacji zespołu klasztornego patronował duch kontrreformacji. Jednakże sytuację podobną w wielu, nie tylko cysterskich klasztorach, mało gdzie cechowała taka gorliwość i bezkompromisowość w walce z innowierstwem jak właśnie w Krzeszowie. Nas in interesuje mały wycinek tej akcji - wprzęgnięcie do niej sztuki, a ściślej rzecz biorąc niewielki element klasztorno-pielgrzymkowego kompleksu - Kaplica Loretańska.

Kult maryjny, którego była ona wyrazem, nie był jedynym rozwijanym przez krzeszowskich cystersów. Bernard Rosa propagował także wiele innych. Najbardziej może spektakularnym było manifestowanie znaczenia Bractwa Świętego Józefa, utwierdzone budową okazałego kościoła pod wezwaniem tego świętego. Innym przejawem chęci uczynienia z Krzeszowa ośrodka pielgrzymkowego było wzniesienie w latach 1670-1674 kalwarii¹⁰⁾. Nadto dbano o rozwój lokalnych kultów cudownego obrazu MB. Krzeszowskiej, figurki Emmanuela i krucyfiksu z Wierzbna. W tym rozbudowanym programie poczesne miejsce zajęła Kaplica Loretańska.

Na chęć jej wzniesienia wpłynął pobyt opata Rosy w samym Loreto w 1661 r.¹¹⁾. Pragnąc i w swoim klasztorze mieć Domek Marii, opat wysłał pracującego dla opactwa budowniczego Martina Schupperta w lutym 1676 r. do Mikulova na Morawach. Miał on dokonać pomiarów znajdującego się tam najstarszego w Królestwie Czeskim Świętego Domku, by na tej podstawie zrealizować zamiar Bernarda Rosy¹²⁾. Prace budowlane rozpoczęto w tym samym roku. Jak

słusznie zapewne przypuszcza H. Dziurła, Loreto usytuowano w północnym ramieniu transeptu gotyckiego jeszcze kościoła¹³). Dekorację rzeźbiarską, w tym m.in. ustawioną w ołtarzu kaplicy w 1677 r. figurę Marii wykonał Georg Schrotter. Jak informuje podpisany z nim kontrakt, wyrzeźbił on nadto: "siedem stojących aniołów, każdy sześć stóp wysoki, św. Michała ale mierzącego sześć i pół stopy, trzech siedzących proroków, każdy sześć stóp wysoki, trzech stojących proroków, każdy osiem stóp wysoki, sześć małych aniołków (putt?), każdy po dwie i pół stopy, cztery siedzące anioły, po trzy i pół stopy wysokości"¹⁴). Notatka z dziennika opata Rosy wskazuje, że w istocie wymienionych w kontrakcie siedem aniołów to archaniołowie. Nie sposób dziś dociec gdzie rzeźby te były pierwotnie usytuowane. Dekorację malarską kaplicy wykonał Michał Leopold Willmann, za co otrzymał honorarium w wysokości 40 talarów¹⁵).

Konsekracja miała miejsce 25 marca 1678 r. Tak pisze o niej w swoim dzienniku Bernard Rosa: "(...) w święto Zwiastowania NMP. konsekrowałem o szóstej rano Domek Loretański. Lud wraz z archaniołami Michałem, Gabrielem, Rafaelem, Urielem, Saeltielem, Jehudielem, Barachielem i wszystkimi świętymi aniołami czcił Pana i Marię. Na ołtarzu składałem relikwie świętych męczenników Generousa i Gerbantia. Śpiewałem wówczas w kaplicy mszę pontyfikalną. W chóralnym śpiewie towarzyszyli mi klerycy i bracia zakonnicy. Dużo ludzi świeckich przyjęło też komunie świętą"¹⁶).

Nim jednak ta doniosła chwila nastąpiła, jeszcze w trakcie budowy, 27 maja 1677 r. pożar strawił część kaplicy, ołtarza głównego kościoła oraz jego więźbę dachową. Szybko jednak prace wznowiono. Już po konsekracji, w 1679 r. opat funduje dla kaplicy posrebrzaną kropielnicę. U złotnika wrocławskiego Johanna Ohle zamawia także srebrną wieczną lampkę. Kolejny opat, Dominik Geyer w roku 1710 ufundował srebrną sukienkę dla figurki Marii. Wykonano ją także we Wrocławiu za sumę 386 talarów¹⁷).

Opat Innocenty Fritsch rozpoczął niebawem rozbiurkę starego, gotyckiego kościoła klasztornego. Siłą rzeczy podobny los spotkał znajdującą się w nim Kaplicę Loretańską. Wszystko po to, by na tym miejscu wznieść obecną monumentalną świątynię, której budowę rozpoczęto w roku 1727. Jak to często bywa w podobnych sytuacjach, wyposażenie z rozebranego kościoła przekazano do pomniejszych kościołów parafialnych, leżących w dobrach krzeszowskich. Taki los spotkał część rzeźb z dawnego Domku Marii. Trafily one do leżącego niopodal Okrzeszyna¹⁸).

Nowy kościół, jeden z najwspanialszych na Śląsku, wznosił jeleniogórski architekt Antoni Jentsch. H. Dziurła poddaje w wątpliwość to, aby to on mógł być autorem projektu. Zdaniem jego twórcą koncepcji był wszechstronny artysta jezuicki Krzysztof Tausch. Kaplica Loretańska (nowa) wtopiona w północne ramię transeptu obecnego kościoła, stanowi jego nieodłączny element (tak jak i Mauzoleum Piastów), toteż zagadnienia autorstwa projektu w oczywisty sposób jej także dotyczy.

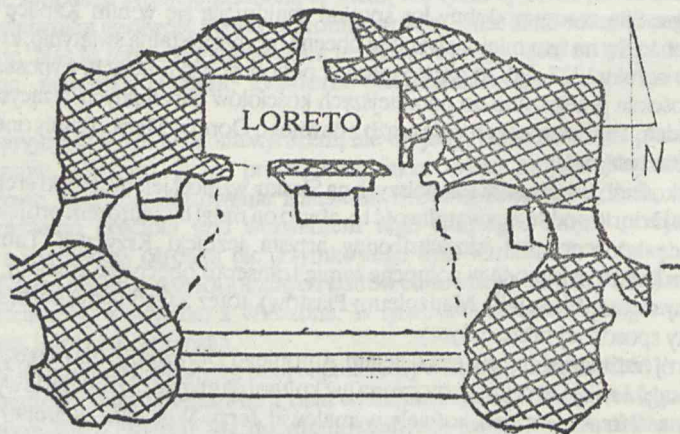
Wystrój rzeźbiarski Loreta jest dziełem Antoniego Dorazila. Z dawnego pozostawiono jedynie posąg Marii, jako swoistą, otoczoną już kultem pamiątkę. Sztukaterie wykonał Ignacy Provisore, zaś freski w całym kościele wymalował Jerzy Wilhelm Neunhertz. Kratę dla kaplicy wykonał klasztorny kowal Ernest F. Hornig. Uroczystej konsekracji kościoła 3 sierpnia 1735 r. dokonał biskup wrocławski, kardynał Filip Ludwik Sintzendorf, natomiast cztery dni

później opat Benedykt Seidel poświęcił ołtarz w Kaplicy Loretańskiej i inne ołtarze w tej części transeptu. Jak pisze w swym dzienniku Benedykt Seidel, w ołtarzu kaplicy znajdowały się relikwie świętych: Adaukta, Modesta, Benedykta. Mimo dokonanej już konsekracji Domek Marii wyposażano jeszcze do ok. 1750 r.¹⁹⁾

Dalsze jego losy, jak i całego opactwa to wojny śląskie, sekularyzacja w 1810 r. i stopniowy upadek świetności całego kompleksu trwający niemal do dzisiaj. Nie rozwodząc się nad tym, przyjrzymy się stanowi obecnemu.

Jak wspomniano, zajmuje on północną część transeptu kościoła. Jego elewacja czy też może raczej w tym przypadku fasada (skierowana do wewnątrz świątyni) w największym stopniu spośród wszystkich śląskich kopii Santa Casa odbiega od pierwowzoru z Loreto. Nie ma tu już żadnych podziałów architektonicznych, a jedynie biała ściana z dwójgciem drzwi i bogatą dekoracją skupioną głównie w obrębie usytuowanego po środku ołtarza św. Rodziny. Składa się on z mensy z tabernakulum, ponad którym znacznych rozmiarów obraz, ujęty w obramienie złożone z dwóch aniołów u dołu i licznych putt u góry; całość wieńczy promienista gloria. W obrazie, u dołu, uwagę zwraca tablica i księga z wywoдем genealogicznym Chrystusa. Ponadto po bokach, nad wejściami do kaplicy wiszą dwa obrazy Michała L. Willmanna przedstawiające 7 proroków (z prawej) i 7 Sybill (z lewej). Są one pozostałością poprzedniego Świętego Domku.

Wnętrze Santa Casa w Krzeszowie posiada wszystkie typowe dla Domków Marii elementy programu ikonograficznego, omówione już przy opisywaniu kaplicy w Loreto, nie będą więc w tym miejscu raz jeszcze rozpatrywane. Brak jedynie naściennych malowideł. Pod niszą z figurą Marii znajduje się napis: "AVE ROSE SINE SPINA, PECCARE SUM



Kaplica Loretańska w Krzeszowie. Rys. autora wg H. Dziurli, op. cit.

MEDICINA" będący pozdrowieniem Marii, wybawicielki od grzechów, porównywanej tu do róży bez kolców.

Ponad kaplicą znajduje się malowidło sklepienne ze sceną ukazującą cudowne przeniesienie domku z Nazaretu do Loreto. To samo zdarzenie przedstawia także okazała, pełnoplastyczna grupa rzeźbiarska, znajdująca się na zewnątrz, nad gzymssem północnej elewacji transeptu. W niej także osobne wejście, a właściwie wyjście z kaplicy, ułatwiające masowy przepływ pielgrzymów.

Wróćmy jednak do wnętrza. Całe północne ramię transeptu poświęcone zostało Marii. Przejawem tego znajdujący się nad nim fresk, ukazujący Marię jako Mądrość Bożą. Pośredniczy tu Ona w jej przekazywaniu między Bogiem i jego sprawczą wolą a świętymi przedstawicielami zakonu cystersów²⁰). To przedstawienie, a także scena Cudownego Przeniesienia Świętego Domku wypełniają malarską dekorację sklepienia tej części transeptu, przesądzając o jej maryjnym charakterze. Wspomniany ołtarz św. Rodziny łączy kult Marii z czcią, jaką w Krzeszowie oddawano św. Józefowi (istniało tu bractwo tego świętego), oraz Męce Chrystusa (kalwaria). Tym samym tu właśnie skupiają się trzy religijne wątki, znajdujące wyraz w propagowaniu przez cystersów Drogi Krzyżowej, świąt maryjnych oraz kultu św. Józefa.

Ołtarz MB. Loretańskiej w Goszczu

Nie jest on wprawdzie Świętym Domkiem, stanowi jednakże ostatni chronologicznie rzeź biorąc przejaw kultu MB. Loretańskiej, toteż godzien jest odnotowania. Znajduje się on w niewielkiej kaplicy na rzucie półkola, przylegającej od północy do nawy kościoła parafialnego pw. Narodzenia NMP. Składa się on z niszy z figurą Marii, ujętej w uszaki o motywach roślinnych, pod nią stojące na mensie tabernakulum, nad nią zaś przedstawienie Boga Ojca nad którym gołębia Ducha św. w glorii. Niszę otaczają fruujące aniołki.

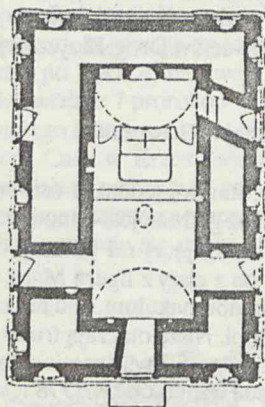
Ołtarz ten nie jest dziełem spójnym kompozycyjnie. Stylistycznie odbiega też od reszty rokokowego wyposażenia kościoła. Obecny został wzniesiony w 1778 r. w miejscu starszej świątyni²¹). Zapewne wtedy został on złożony z elementów pozostałych z wyposażenia starego kościoła. Ich cechy stylowe wskazują na czas powstania przed połową XVIII w.

PODSUMOWANIE

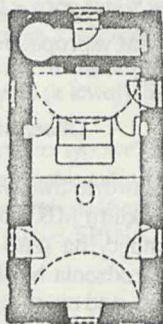
Chronologiczny, na ile było to możliwe, przegląd śląskich kopii Santa Casa pozwala na dostrzeżenie dwóch okresów w ich rozwoju, podobnie zresztą jak i śląskiej architektury barokowej w ogóle. Wyraźny jest tu przełom jaki nastąpił ok. roku 1715. W sakralnej architekturze Śląska pojawiły się wówczas formy późnego baroku i rokoka czesko-austriackiego. Pionierskim dziełem był tu legnicki kościół jezuitów, przypisywany Kilianowi I. Dientzenhoferowi (1714-1720), oraz niektóre budowle wrocławskie (kościół bonifratów, 1714-1722, kapł. Hochberga, 1723-1726) i nyskie (kościół bożogrobowców, 1720-1727). Pojawiły się wtedy skomplikowane plany budowli, dynamizm fasad i elewacji oraz wnętrz, wynikający głównie z zastosowania w rzutach poziomych przenikających się elips (np. kościół w Legnickim Polu). Krzywe, falujące linie gzymsów, skośnie ustawione pilastry potęgowały

ekspresję, wizualną "wibrację" wznoszonych po tej dacie obiektów. W tym nurcie śląskiej architektury znakomicie mieszczą się Loreta w Krzeszowie (druga kaplica z lat 1727-1735), oraz w Henrykowie (po przebudowie). Odchodzą one zdecydowanie od schematu, jakim był bramantejski Domek Marii w Loreto z 1 poł. XVI w. Wiernie powielany był on w Głogówku, Głogowie, Krzeszowie (pierwsza kaplica), Wrocławiu i zapewne w Henrykowie (przed przebudową). Obiektem granicznym, choć może jeszcze nie przełomowym w pełnym tego słowa znaczeniu, przynajmniej w zakresie formy, jest Kaplica Loretańska w Lubiążu. Tu wolnostojąca jak dotąd kaplica, została najprawdopodobniej po raz pierwszy wtopiona w większą bryłę kościoła. I wydaje się nie mieć większego znaczenia, czy Loreto, stające się w ten sposób częścią większej budowli, znajduje się w jej wnętrzu (Henryków, Krzeszów), czy na zewnątrz (Lubiąż). W tym ostatnim przypadku takie jej usytuowanie mogło wynikać z całkowitego wypełnienia wnętrza kościoła zwartym programem ikonograficznym, w którym obecność Loreta byłaby elementem obcym i treściowo niespójnym z całością.

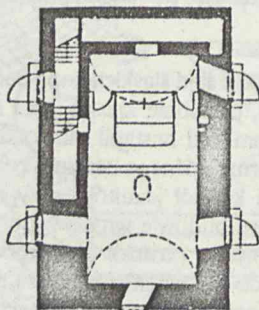
KOSMONOSY



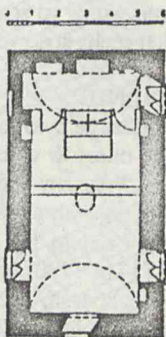
DOLNI ŘIMOV



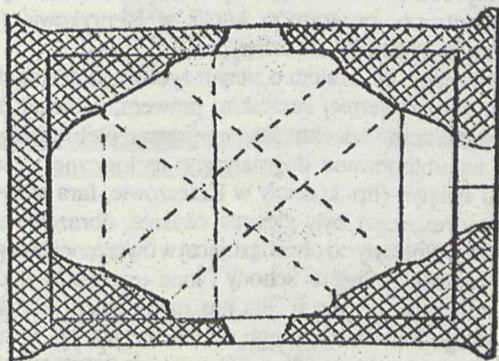
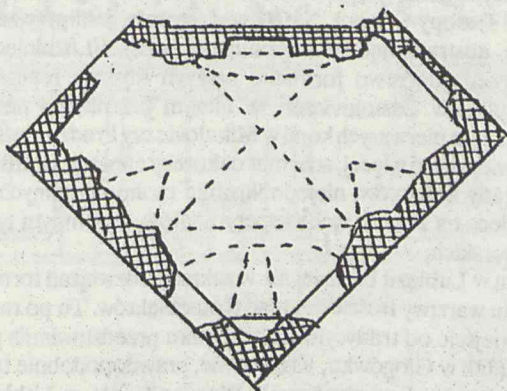
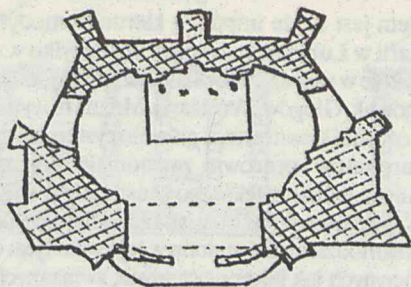
ČESKA LIPA



HOŘOVICE



Rzuty poziome českých Kaplic Loretańskich. wg L. Bukowskiego, op. cit.



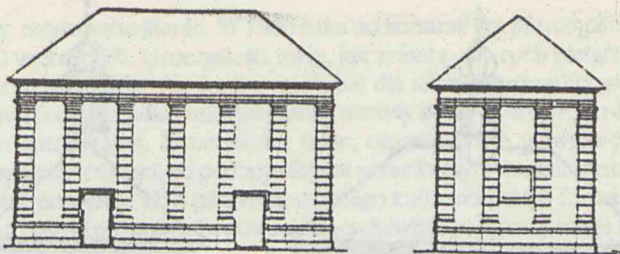
Przykłady czeskich późnobarokowych Kaplic Loretańskich (Olomuniec, Horaždovice, Částolovice).
rys. autora wg L. Bukovského, op. cit.

Godnym uwagi zjawiskiem jest to, że impuls w kierunku modyfikacji włoskiego pierwowzoru, jaki dał Domek Marii w Lubiążu, rozwinięty został tylko w obiektach cysterskich (Henryków, Krzeszów), pozostałe w zasadzie niewiele się zmieniły, mimo przeprowadzanych w XVIII w. modyfikacji (Głogówek, Głogów, Wrocław). Można to wytłumaczyć chyba przede wszystkim tym, że to właśnie ośrodki klasztorne, a głównie cysterskie, rozwinęły na ogromną skalę działalność własnych warsztatów i pracowni, zatrudniając najznakomitszych artystów.

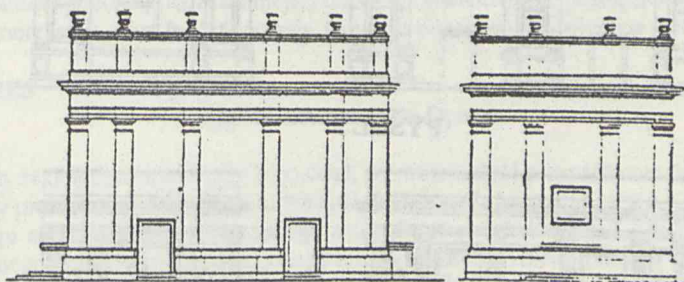
Uwagi powyższe nie miałyby jednak większego sensu, gdyby zagadnienie rozpatrywać tylko w odniesieniu do Śląska, w oderwaniu od zjawisk zachodzących głównie po południowej stronie Sudetów. Mówienie o samodzielności regionu w tej kwestii jest o tyle nieuzasadnione, że wielu artystów, zarówno pewnych jak i domniemyanych, związanych ze wznoszeniem lub dekorowaniem śląskich Świątych Domków pochodziła właśnie z Czech. Nie można zapomnieć o wiodącej roli tamtejszego kręgu, głównie środowiska praskiego w kształtowaniu oblicza artystycznego tej części Europy w 1 poł. XVIII w. I istotnie, jeśli przyjąć się tamtejszym kopiom Santa Casa to, abstrahując od imponującej liczby 40 istniejących tam niegdyś obiektów, stwierdzić trzeba ubóstwo formalne naszych śląskich realizacji. Tak ekscentrycznych dzieł jak kaplica w Ćstolowicach, w niczym już niemal nie przypominająca włoskiego oryginału jak i jego pierwszych kopii w Mikulovie czy Pradze, na Śląsku, poza może Krzeszowem, nie wzniesiono. Co więcej, schemat dekoracji elewacji Domku Marii w Loreto przechodził czasem fasady kościołów, niejednokrotnie monumentalnych jak np. w Rychnowie. Śląsk pozostał nieco na uboczu tych eksperymentów. Skromnym tylko echem odbiły się one w Loretach cysterskich.

Kaplica Loretańska w Lubiążu bardziej niż w zakresie rozwiązań formalnych stanowiła przełom w kształtowaniu warstwy treściowej tego typu obiektów. Tu po raz pierwszy na tym terenie obserwujemy odejście od tradycyjnego schematu przedstawiania proroków i Sybill, oraz scen z życia Marii (Jak w Głogówku, Krzeszowie, prawdopodobnie także w Głogowie, Wrocławiu i Henrykowie przed przebudową). Wprowadzenie w Lubiążu ewangelistów stanowiło precedens dla autorów programów kaplic w Henrykowie (wątek św. Jana Nepomucena) i w Krzeszowie (ołtarz św. Rodziny).

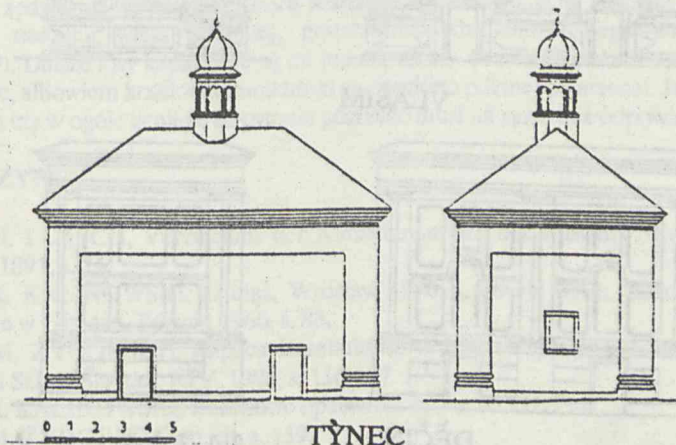
Śląsk, podobnie jak i Czechy, był krajem o silnym żywiole protestanckim. Katolicyzm, wzmocniony po wojnie trzydziestoletniej cesarskim prawem, zabiegał o dusze i umysły zarówno wykształconych mieszczan i szlachty, jak i miejskiego plebsu i wiejskiego ludu. Do pierwszych trafiać miały wysublimowane dogmatyczno-teologiczne treści prezentowane przez wystroje katolickich świątyń (np. kościoły w Krzeszowie, fara w Świdnicy i in.). Do prostego ludu natomiast adresowane były głównie okazałe, obrazowe misteria, w pełni zrozumiałe także dlatego, że wolne były od obowiązującej w ówczesnej liturgii łaciny. Ich tem były kalwarie, Domki Loretańskie, Święte Schody i inne tego rodzaju obiekty. Dziś, po reformach II Soboru Watykańskiego jest to dla nas może nieco odległe, choć niektóre uroczystości nie straciły swego iście barokowego rozmachu, jak np. doroczne misteria w Kalwarii Zebrzydowskiej. O tym jak wyglądały podobne święta i obchody pisze cytowany już N. Lutterotti. Na przypadające 19 marca doroczne święto św. Józefa do Krzeszowa z całego Śląska a także z Czech i Moraw przybywały rozśpiewane procesje. Towarzyszyły im orkiestry, sztandary, krzyże. Tego dnia zapraszano licznych znanych kaznodziejów. Odprawiano mszę,



ČESKA LIPA

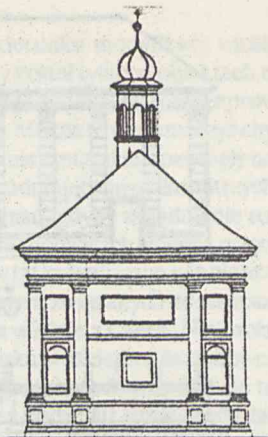
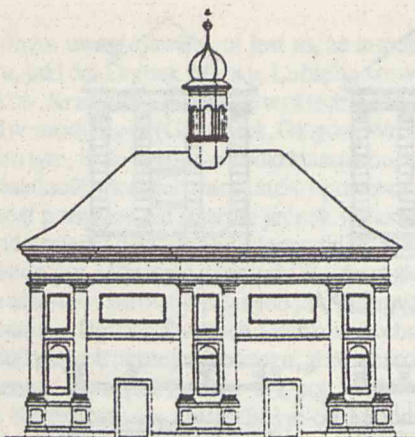


HLÁSNA LHOTA

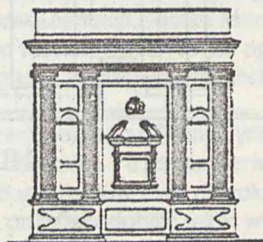
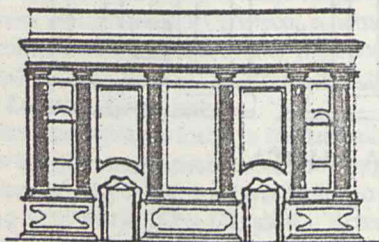


TÝNEC

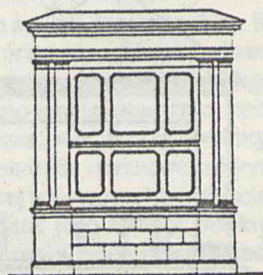
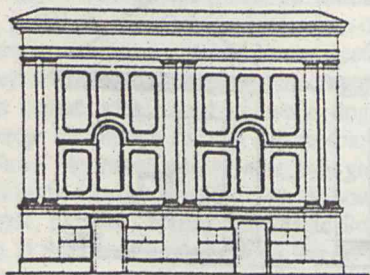
Typy českých Kaplic Loretaňských. wg L. Bukovského, op. cit.



PYŠELY



VLAŠIM



DĚČÍN

0 1 2 3 4 5 6 7 8

Typy českých Kaplic Loretaňských. wg L. Bukovskega, op. cit.

śpiewano hymny, recytowano litanie. W 1680 roku do komunii św. przystąpiło ok. 3000, a w r. 1696 już 6300 wiernych²²). Uroczystości takie, jak zresztą cały ruch pielgrzymkowy, były potępiane przez protestantów. Stanowiąc wyzwanie dla ich ascetyzmu i powściągliwości w traktowaniu sztuki jako narzędzia religijnej walki, stawały się skutecznym, bo działającym na emocje, orężem katolicyzmu. Uroczystości takie, organizowane głównie przez potężne klasztory, straciły nieco rozmach po podboju Śląska przez Prusy. Po sekularyzacji klasztorów w 1810 r. zupełnie przygasały. Dziś pamiątką dawnego kultu pozostaje Litania Loretańska, powstała w Loreto wśród pielgrzymów odwiedzających święte miejsce. Istnieje także w Polsce Zakon Sióstr Loretanek.

Same kaplice, trochę jakby zapomniane (tylko głogówecka nadal jest obiektem kultowym), nawet jeśli istnieją, są na ogół zaniedbane (Głogów, Lubiąż, Henryków, Krzeszów). Nadzieję autora pozostaje to, że niniejszy tekst²³) przywróci naszej pamięci owe interesujące zabytki, kontekst w jakim funkcjonowały, wreszcie bogactwo zawartych w nich treści.

ANEKS

Kaplica Loretańska w Opawie

Na to, że obiekt takowy w ogóle powstał, natrafiłem dość przypadkowo. Nastąpiło to w chwili, gdy pierwsza część tego tekstu była już w druku, nie było więc mowy o umieszczeniu jej w ciągu chronologicznym niniejszego artykułu. Co zaskakujące, L. Bukowsky, autor syntetycznego opracowania poświęconego czeskim Loretom nie wspomina o niej²⁴). Może dlatego, że jakby na to nie patrzeć, Opawa to jednak Śląsk.

Ograniczę się do kilku faktów. Kaplica Loretańska w Opawie powstała w 1692 roku z fundacji sędziego Henryka Baltazara Kurtza. Usytuowano ją w kościele dominikanów, ważnym ośrodku walki religijnej, podstawowej działalności tego kaznodziejskiego zakonu²⁵). Dalsze losy kaplicy nie są mi jednak znane. Prawdopodobnie nie były one zbyt pomyślne, albowiem kościół dominikański zamieniono później na arsenał. Jak wygląda ona obecnie i czy w ogóle istnieje, to pytanie pozostać musi na razie bez odpowiedzi.

PRZYPISY

1. H. LUTSCH, Verzeichnis der Kunstdenkmäler der Provintz Schlesien, Bd. III, Breslau 1891, s. 74.
2. K. KALINOWSKI, Lubiąż, Wrocław 1970, s. 88-91; tenże, Barokowe opactwo cysterskie w Lubiążu, Poznań 1960, s. 88.
3. M. ŻYDOWICZ, Kaplica Loretańska w kościele pocysterskim w Lubiążu, w/ Roczniki Sztuki Śląskiej, XIV, 1986, s. 156-157.
4. K. KALINOWSKI, Barokowe opactwo... op. cit. s. 152-154.
5. M. ŻYDOWICZ, op. cit. s. 159.
6. K. KALINOWSKI, Rzeźba barokowa na Śląsku, Warszawa 1986, s. 206-207.
7. M. ŻYDOWICZ, op. cit. s. 155.
8. Op. cit. s. 156.

9. Op. cit. s. 155.
10. H. DZIURLA, Krzeszów, Wrocław 1974, s. 25.
11. N. LUTTEROTTI, Vom umbekanten Grüssau, Wolfenbüttel 1962, s. 70-71.
12. Op. cit. s. 71.
13. H. DZIURLA, op. cit. s. 25.
14. Tłum. autora. Kontrakt publikuje N. LUTTEROTTI, op. cit. s. 201, przyp. 3.
15. Op. cit. s. 72, 201.
16. Op. cit. s. 72-73, tłum. autora.
17. Op. cit. s. 73.
18. Op. cit. s. 72. Zob. też K. KALINOWSKI, Rzeźba... op. cit. s. 78, 107-108.
19. H. DZIURLA, op. cit. s. 28; N. LUTTEROTTI, op. cit. s. 74.
20. Ikonografię malowideł omawia ostatnio S. KOBIELUS, Wątek Emmanuela w dekoracji monumentalnej kościoła opackiego w Krzeszowie /w/ Rocznik Historii Sztuki, R. 16, 1987, s. 159-212.
21. J. MANDZIUK, Katalog ruchomych zabytków sztuki sakralnej w archidiecezji wrocławskiej, t. I, Wrocław 1982, s. 78.
22. N. LUTTEROTTI, op. cit. s. 86; opis ten przytaczam za: T. FITYCH, Kult św. Józefa na Śląsku w XVII i XVIII w. /w/ Misericordia et veritas. Księga pamiątkowa ku czci księdza biskupa Wincentego Urbana. Praca zbior. pod red. J. MANDZIUKA i J. PATERA, Wrocław 1986, s. 157.
23. Artykuł niniejszy, mimo obciążenia go znaczną ilością przypisów, nie rości sobie pretensji do miana publikacji naukowej. Jest jedynie skromną prezentacją zagadnienia wymagającego wiele studiów, m.in. archiwalnych, których autor w zasadzie nie podejmował.
24. J. BUKOVSKY, Le type de Construction de la Chapelle de Loreto dans l'architecture du baroque de Boheme /w/ Historica, XV, 1968, s. 65-122.
25. G. KÜRSCHNER, Das Buch der Stiftungen zum ehemaligen Dominikaner-Kloster in Troppau 1903, s. 29-31.

WIĘZNIOWIE KŁODZKIEJ TWIERDZY

Co najmniej w X w., o ile nie wcześniej, na skalistym wzgórzu nad Nysą Kłodzką, wzniesiona została z potężnych kłód palisada, ochraniająca kilka czy może kilkanaście budynekczków, również drewnianych. To gród Chorwatów, którzy zasiedlili największą z sudeckich kotlin i którzy nazwali go Kłodzkiem, tak owe kłody rzucały się w oczy. U podnóża rozwijało się osiedle, coraz szybciej, bo i coraz większy ruch panował na przebiegających tędy szlakach, a gród zyskiwał na znaczeniu. Dlatego też kolejno władcy tych terenów rozbudowywali go i umacniali. Na rozkaz czeskiego króla Jerzego z Podiebradów, który wywodził się był z husytów, miejsce to stało się komfortową, rzecz jasna - jak na owe czasy - rezydencją. Potem znów Lorenz Krischke i bracia Carove powiększali zamek, wiszący nad miastem. No a ostateczny kształt na rozkaz pruskiego króla Fryderyka II warownia uzyskała dzięki pracom Gerharda Korneliusa Walrave, ale było to już po 1750 r.

Rzecz jasna, że tak ufortyfikowana placówka idealnie nadawała się nie tylko do celów obronnych (była tylko raz zdobyta!), lecz także... więziennych. Przewinęło się przez to wojskowe, później cywilne i znów wojskowe (II wojna światowa) duża grupa osób, także Polaków, powstańców śląskich i Wielkopolan¹⁾. Niektórzy z nich byli postaciami znaczącymi, inni - oryginalnymi lub po prostu ciekawymi. Ich listę dla nowożytnych czasów otwiera nadochmistrz dworu czeskiego Georg Popel von Lobkowitz, który w zamkowym więzieniu przesiedział od 1595 do 1606 r. Głośną postacią był hrabia Jan Ulryk von Schaffgotsch, pan rozległych dóbr w Sudetach Zachodnich, który wskutek popadnięcia w niełaskę popieranego przezeń Wallensteina²⁾ został aresztowany na cesarski rozkaz. Osadzony w 1634 r. w Kłodzku, przewieziony następnie na sąd do Ratzbony i tam ścięty w 1635 r. Niemal dokładnie w sto lat później, bo w 1736 r., trzymano tu niejakiego Józefa Renatusa, który podawał się za "najwyższego księcia Madagaskaru". Był to wszakże zwykły, choć dość sprytny hochsztapler³⁾. Niezwykle barwne życie, nawet w warunkach więziennych, miał za sobą hrabia Fryderyk von der Trenck, któremu wypada poświęcić dalej sporo miejsca. Po nim był ks. Andreas Faulhaber, duchowny

katolicki, tu już przedstawiany⁴). Był to rok 1757. Bodaj w 1801 r. uwięziono w twierdzy Alfreda Exnera, który też zostanie dalej opisany. W trzy lata później osadzono tu trucicielkę (przynajmniej domniemaną) Charlottę Ursinus. I jej poświęcimy dalej nieco więcej uwagi. Dalej na liście można umieścić księcia Jana Putkowskiego (1815), mistrza ceremonii hr. Adolfa von Schradera (1895), Karola Liebknechta (1907), kapitana Royal Navy Bernharda Frederica Trencha (1910). Brawurowej ucieczki dokonał też kapitan francuskiego wywiadu Charles Eugene Lux, którego wyczyn w nocy 27/28.12.1911 r. przypomniemy dalej, wreszcie ostatnim był w 1914 r. nadburmistrz Brukseli Adolf Max. A więc, zacznijmy chronologicznie od Trenchka⁵).

Otóż hr. Fryderyk von der Trenck urodził się w 1726 r. w Królewcu i, jak wielu pruskich młodzieńców, wstąpił na królewską służbę. W 1745 r. był młodym kornetem Korpusu Gwardii, pełniąc rolę oficera ordynansowego Fryderyka II. Jego wuj, co ważne, hr. Franciszek von der Trenck dowodził austriackim oddziałem Pandurów w stopniu pułkownika. Fryderyk na komnatach stykał się, rzecz jasna, nie tylko z bezpośrednim otoczeniem króla, ale i damską częścią dworu. Tu błyszczała urodą i młodością siostra monarchy, księżniczka Amalia. No i stało się - też młodzieńki hrabia zakochał się, podobno zresztą ze wzajemnością. Czy to król dostrzegł wreszcie, czy też jakiś "zyczliwy" doniósł, dość, że kornet popadł w niełaskę. Aresztowano go i osadzono aż w Kłodzku, byle dalej od Amalii. Tak mówi wersja romantyczna. Bo jest też i inna, która tłumaczy postępek władcy podejrzeniami (może i uzasadnionymi, dowodów nigdy nie zgromadzono) młodzieńca o szpiegowaniu na rzecz Austrii. Właśnie wtedy ledwo co zakończono I wojnę śląską, szykowała się następna, a tu ktoś z otoczenia króla korespondował z austriackim pułkownikiem (co szkodzi, iż był to wuj). To stało się powodem skazania. A może było tylko pretekstem? Młody Trenck dobrze zdawał sobie sprawę z losu, który go czeka pod rządami takiego monarchy, więc wołał nie czekać. Już w pięć miesięcy po uwięzieniu nadarzyła się dobra okazja. Rzecz w tym, iż jako szlachcica z dworu i to hrabiego traktowano go w twierdzy z pełnymi honorami. Właściwie poza ograniczeniem ruchu między potężniejącymi murami miał pełną swobodę. I skorzystał z niej: po prostu będąc w pokoju młodszych oficerów... wyszedł w tym kierunku, który prowadził na zewnątrz. Ale daleko nie uszedł, bo zaraz schwymano go. Zaostrzono reżim, lecz to nie osłabiło chęci wydostania się. Siedząc w celi w szańcu, który po przebudowie nazwano Bastionem Alarmowym, przepiłował kraty, ukręcił linę z bielizny i pościeli i z wysokości około 30 m spuścił się nocą w dół. Niestety, tak się zmęczył w tej fazie ucieczki, a ponadto wyładował głęboko w... kloace, z której nie mógł się wydostać, że zauważony został rychło przez wartownika i sprowadzony znów do celi, oczywiście już innej. Poddano ją częstej kontroli, by sytuacja nie powtórzyła się. Uczestniczył w nich z reguły sam komendant mjr. Doo (pisujący się później z francuska D'O). Trenck zagrał isticie pokerowo: gdy inspekcjonujący oficerowie weszli do celi, on skoczył do drzwi, przytrzasnął je i mijając zaskoczono go żołnierza pobiegł do wyjścia. Skoczył z muru i ruszył dalej. Ale, niestety, tu już dopadli inni wartownicy. Trzeba przyznać, iż odwagi i fantazji młodzieńcowi nie brakowało. Spróbował jeszcze raz, zmieniając wszakże metodę. Zaczął bowiem podkupywać żołnierzy dzięki otrzymywanym, jak najbardziej legalnie, z zewnątrz pieniądзом. Wkrótce więc hrabia mógł liczyć na 32 żołnierzy i podoficera Nikolai. Wszyscy oni mieli mu utorować drogę do bramy, gdyby nadarzyła się sposobna ku

temu okazja. Wydawało się, iż będzie nią osadzenie w twierdzy austriackiego dezertera, aliści mimo wywołanego sztucznie zamieszania i ta próba spełzła na panewce. A więc, jeszcze raz. Trenck zbliżył się do szlachetnie urodzonych "pensjonariuszy", szczególnie do por. von Schella, którego namówił do wspólnej ucieczki. Niby to spacerując, niby oglądając z góry miasto, a czasami chmury, obaj młodzi panowie podjęli ryzykancką decyzję. Oto 26. listopada (rzecz bowiem dzieje się ciągle w tym samym roku) w trakcie takiego właśnie spaceru po prostu... zeskoczyli w biały dzień z wału od strony północnej i rzucili się naprzód. Mimo natychmiastowego ogłoszenia alarmu, sygnalizowanego m. im. wystrzałem armatnim, pogof tym razem nie przyniosła pomyślnego wyniku. Trasa ucieczki miała wieść przez Czechy do Austrii, ale, jak przemyśleli panowie, właśnie na tym kierunku byłiby oni szczególnie poszukiwani. Tak więc zrobili luk do Nysy Kłodzkiej i mimo przenikliwego zimna przebyli ją wplaw, pomaszzerowali w dół rzeki, tam znów wplaw wrócili na lewy brzeg. I dopiero stamtąd (może gdzieś w okolicy Ławicy) ruszyli ku granicy. Korzystając z chłopskich koni dotarli do Radkowa, a stamtąd to już bagatelka. Tak tedy zakończył się więzienny los i pierwsza tak brawurowa ucieczka z twierdzy.

Trenck mógł sobie spokojnie żyć u Habsburgów (był przecież wuj), lecz coś (miłość ?, misja szpiegowska ?) skłoniło go w 1753 r. do powrotu do Prus. Tu wcale wszakże o nim nie zapomniano, stąd najzwyczajniej w świecie zatrzymano go w Gdańsku. Tym razem nie było już tak lekko. Skazano go na więzienie o zaostrozonym rygorze, dzięki czemu spędził dziesięć lat w twierdzy magdeburgskiej. Ciężko mu było usiedzieć w miejscu, co zresztą po takiej "odsiadce" nie powinno dziwić. Ale wyłudował aż... we Francji. Tu wydał się jakiś podejrzany, może zresztą były ku temu podstawy, i w 1794 r. pojmano go jako oskarżonego przez Robespiera o szpiegowanie na rzecz Prus (może to była cena wolności ?). Rewolucja, jak wiadomo, nie bawiła się w subtelności i hrabia w wieku 68 lat stracił głowę⁹.

Jak widać, była to postać malownicza, wprost wymarzona do eksploatowania. Sporo przyczyniła się ku temu obszerna monografia, wydana cprawda stosunkowo niedawno⁷. Między innymi i dzięki niej zachodniemiecka telewizja nakręciła o Trencku przygodowy (bo jaki inny mógłby być ?) film. Rolę kłodzkiej twierdzy grało tu niezwykle interesujące skądinąd zamczysko Burghausen nad rzeką Salzach we wschodniej Bawarii. Gdybyśmy mieli jakiś znajomków w TVP, to może postaralibyśmy się sprowadzić ten serial. No cóż, może komuś się to uda ?

A teraz o trucicielce - choć, po prawdzie, to nie takie pewne. Lecz po kolei. Otóż Charlotte Ursinus urodziła się 5.05.1760 r. w Stendal jako córka sekretarza austriackiego poselstwa von Weissa⁸. Ów, łasy widać na brzęcząą mamonę, zdradził był to i owo z tajemnic państwowych, tak że po zakończeniu wojny siedmioletniej (1763) nie miał co wracać do kraju. Tedy i został na pruskim chlebie. Dziewczynka do 12 roku życia przebywała w domu rodzicielskim, później wysłano ją w celu nadania towarzyskiej ogłady do starszej siostry, wydanej za radcę dworu Haake, mieszkającego w Spandau (obecnie część Berlina). W wieku 18 lat zakochała się Charlotta pierwszą dziewczęcą miłością. Ale widocznie, ta rzeczywiście ślepa miłość, trafiła na nieodpowiedni obiekt, gdyż rodzina uznała młodzieńca za niezgodnego ich (zbyt chuda sakiewka ?) i szybciotko ściągnęła córkę do Stendal. Tutaj czekał już wybrany kandydat, godny, zapewne, ale - głuchy, chory, nadto wiele starszy tajny radca Ursinus. A

dziewczyna młoda, tryskająca zdrowiem i życiem. Rok trwały formalne starania o jej rękę, aż wreszcie nie było wyboru: ślub się odbył, na pewno z paradą! Młoda para zamieszkała w Berlinie i wszystko potoczyło się bardzo ładnie, nic z romansików na boku, niewierności. Nie, Charlotte przez 21 lat była wzorową małżonką, cierpliwie i nawet serdecznie dbającą o coraz bardziej zapadającego na zdrowiu małżonka (co później stwierdzono na rozprawie). Nie można wszakże bezkarnie igrać z losem, a właściwie z namiętnościami. Otóż pan Ursinus był tak pewien swej połowicy, iż przyjął był na stancję dość młodego holenderskiego kpt. Ragaya. No i przytłumiona na wiele lat miłość kobieca wybuchła! Cóż z tego, skoro nie została odwzajemniona. Tak, bowiem kapitan nie uległ, co dobrze nadzwyczaj o nim świadczy. Jednakże nagle mu się w lipcu 1797 r. bez jakiejś dłuższej choroby... zmarło. W podobny sposób, choć wyraźnie później, odszedł na drugi świat 11.09.1800 r. sam pan mąż. A potem równie nieoczekiwanie ubyła z grona ziemian cioteczka Charlotty, złożona chorobą wkrótce po jej wizycie w Charlottenburgu (obecnie część Berlina). No cóż, takie przypadki zdarzają się. Aliści pewnego razu służąca Klein uznała, iż spożywana przez nią potrawa jakoś dziwnie smakuje. Widocznie ogarnięta została psychozą tych nieoczekiwanych, a licznych zejść, bo uznała, że winić za to trzeba niezbyt apetyczną przyprawę - arsenik. Popędziła z tym do aptekarza, ten potwierdził podejrzenia i sam zgłosił ów fakt policji. Ta zaś nie mogła nic innego zrobić, jak tylko 5.03.1803 r. aresztować szanowaną szeroko damę.

Proces ruszył. Oskarżyciel zdobył koronny, jak sądzono dowód. Oto wykazano, iż tuż przed śmiercią męża Charlotta kupiła w aptece arsenik, ponoć jako trutkę na szczury. Zarządzono więc ekshumację zwłok. Badania niby wykazały, iż zostały one otrute, właśnie arsenikiem. Ale to nie było wcale takie oczywiste, widać to w świetle późniejszej wiedzy chemicznej i medycznej. W istocie była to rozprawa poszlakowa. Trafiła też i do II instancji. W majestacie prawa uznano ją winną otrucia ciotki i próby otrucia służącej. Skazano ją w rezultacie na dożywotnie więzienie i 4.03.1804 r. osadzono w kłodzkiej twierdzy. Już wtedy zaczęła rosnąć wokół niej atmosfera sędowniczego męczeństwa, a nawet, jak niekiedy to określano, sądowego morderstwa. Kłodzki komendant dla tak znakomitej osoby przyszykował w Donżonie dwie najlepsze izby, bo trudno je było nazwać celami. Zamierzano je jeszcze doposażyć w mahoniowe meble, złożone i srebrzone lustra, a więc w pełnym komforcie, nawet jak na ówczesne warunki. Ale też planowano 1000 talarów na roczne utrzymanie. Na to jednak pruski fiskus nie mógł się zgodzić i większość rzeczy odesłano, choć zostawiono ładną sekretkę z biurkiem i mahoniowy fortepian, redukując środki do 59 tlr. miesięcznie. Jako że była to i dama, i niesłusznie (jak większość światłej w końcu społeczności uważała) skazana, to i dostęp dla osób z towarzystwa od początku stał się łatwy. Charlotta Ursinus przyjmowała więc wizyty współczujących, organizowała spotkania literackie i przy kawie. Bywała u niej cała śmietanka kłodzka i okolic. Jej status tak osobliwie się ułożył, iż w czasie oblężenia twierdzy w 1806 r. i potem w dniach 8. lutego - 15. czerwca 1807 r. zezwolono jej mieszkać w mieście, by nie narazić na skutki ataków. Zadowolona chyba z tego dama odwiedzająca się tym, iż dziergała pończochy dla obrońców ojczyzny, czyli żołnierzy pruskich. Nawet złota klatka się nudzi, tedy skazana wystąpiła w 1809 r. o ulaskawienie, co zostało ciepło poparte przez komendanta. Aliści kolejni opiniodawcy na drodze petycji do władz zwierzchnich nie okazali zrozumienia i Ursinus dalej tkwiła w twierdzy. Traktowana jako dama z

najwyższymi honorami przez jej personel, zaprzyjaźniła się z miejskim towarzystwem, szczególnie z generałową Charlottą von Carnall i to tak mocno, iż ta zapisała jej w testamencie 2000 tlr.!

W 1817 r. wznowiono starania o ułaskawienie, prowadzone cierpliwie przez długie lata. Wreszcie w maju 1828 r. król udzielił go, ograniczając wszakże wolność 68-letniej już wówczas więźniarki do granic miasta. Ursinus wynajęła mieszkanie przy ul. Czeskiej 28, lecz rychło odziedziczyła narożną kamienicę w rynku, należącą do kupca Duriga. Tu właściwie kontynuowała dotychczasowy tryb życia, przyjmując licznych gości. Odnaczała się specyficznym poczuciem humoru, gdyż doprawiając napoje cukrem zwykła mawiać: Proszę zobaczyć, to nie jest arsenik! Wkrótce ograniczenie ruchu poszło w niepamięć i pod koniec życia starsza dama wyjeżdżała corocznie na letnisko do Szalejowa Dolnego, zatrzymując się u soltysa Volkmera. Tak polubiła jego rodzinę, a zwłaszcza syna (sama przecież nie miała dzieci), iż uczyniła na jego rzecz znaczny legat w testamencie. I przypadek zrządził o zakończeniu żywota. Oto w niepewnej wiosennej pogodzie przyplątało się zapalenie płuc i 4.04.1836 r. Ursinus zmarła. Pogrzebowi na cmentarzu ewangelickim przy Bramie Ząbkowickiej towarzyszyła duża cizba, był też stosowany żałobny chórek dziecięcy. Kłodzko żegnało ją jako jedną z najbliższych miastu osób. A przecież była to trucicielka. Może jednak nie była? Prawdę ta w sumie nieszczęśliwa kobieta wzięła ze sobą do grobu.

W prezentowanej galerii czas na kogoś późniejszego stanu - na zbója. Otóż w 1801 r. pewien czas w kazamatach spędził Alfred Exner⁹⁾. Miał on szanse zejść w miarę wysoko, a przynajmniej spędzić życie w niezłym towarzystwie. Urodził się był bowiem w szanowanej rodzinie w Górnym Palatynacie. Zaczął nawet studiować we Frankfurcie nad Odrą (nota bene, ciekawe, dlaczego aż tak daleko od domu? Ale niewiele o nim wiemy, także i o przyczynach tego kroku), lecz tu skumał się z szemranym gronem złodziejasków, hulaków i im podobnym. Podobno zresztą Alfred już w chłopięcym wieku miał "lepkie" ręce, stąd może i nie dziwi ta sytuacja. Ruszył więc na podbój Dolnego Śląska, ale że na ogół początki bywają trudne, wpadł i wylądował następnie w więzieniu karnym w Jaworze. Przypomnijmy, iż funkcję tę pełnił piastowski zamek. Udało mu się uciec, po czym zorganizował własną bandę i rozpoczął zbójowanie na całego. Nie wiadomo wszakże, czy była to decyzja przejścia na "zawodostwo", czy też chęć takiego oto oryginalnego trybu życia. W każdym razie, jego działalność napędzała wiele strachu zamożniejszym mieszczańom i ziemianom. Szybko narastała wokół niego swoista legenda. Bo to i brawurowe napady, rosła sylwetka młodego mężczyzny o Herkulesowej wręcz sile i tak upojnych oczach, iż damy na ich spojrzenie nieomal mdlały. Wieści o Exnerze i echa jego wyczynów rozchodziły się szybko i szeroko po całym Śląsku. Wzmacniała je fama dobroczynności, gdyż zbój znaczną część zdobyczy przeznaczal ubogim. Ot, taki zapóźniony śląski Janosik. Wreszcie jednak powinęła mu się noga i przy kolejnym wyczynie wpadł. Osadzono go w twierdzy srebrnogórskiej, ale i stąd uciekł. Przejściowo siedział też w Kłodzku. Mimo surowego nadzoru (sprawdzano celę co 2 godz.), bez narzędzi, zdołał zrobić w murze wąską dziurę, przez którą przecisnął się na zewnątrz. Mimo głębokiego śniegu złamał, niestety, nogę i dalej nie mógł się ruszyć, co strażę rychło spostrzegły. Zawleczony do innej celi, spędził w Kłodzku jeszcze kilka tygodni, a powyleczeniu przetransportowany do Świdnicy. Tu odbył się proces, w wyniku którego Exner został

deportowany w 1082 r. na Syberię. Otóż Prusy miały umowę z carem, w wyniku której szczególnie groźnych przestępców kierowano do kopalń w Nerczyńsku. I pożytek z więznia, i dalej od kraju. Ale to nie były zasadnicze przeszkody dla naszego bohatera. Jeżeli grube mury nie oparły mu się, to co dopiero przyroda. A więc - w drogę! Zdumienie i wściekłość policji wzbudziły informacje o jego powrocie na Śląsk i wznowieniu rozboju. Trwałby on zapewne długo, w końcu popełniane błędy uczą, gdyby nie pewien odważny młynarz. Exner dokonał bowiem napadu na samotny młyn pod Głogowem, ale nie przewidział, iż zdesperowany gospodarz chwyci za kordelas i głęboko go zrani. Okazało się to na tyle groźnie, że unieruchomiło bandytę w miejscu napadu, a co więcej - spowodowało wyzionięcie ducha następnego dnia. Tak oto skończyła się legenda, a groszoroby odetchnęły.

Na zakończenie koniecznie trzeba przyponnieć (pisał bowiem o tym kilkanaście lat temu we wrocławskich "Wiadomościach" Stanisław Bernatt) o dzielnym kapitanie francuskiego wywiadu nazwiskiem Charles Eugene Lux. Otóż penetrując Niemcy, tak blisko przecież wybuchu I wojny światowej, został nakryty on przy robocie i skazany na odsiadkę w kłodzkiej twierdzy. Zapewne nie znał jej dziejów, a już zwłaszcza dotyczących ucieczek, lecz mimo to podjął decyzję o wydostaniu się na wolność. Widząc jednak ogrom obwarowań i pilność straży uznał, iż trzeba imać się podstępów. W owych dawnych, dobrych czasach do takich więźniów odnoszono się z szacunkiem, tym bardziej że formalnie nie było przecież wojny. Otóż dzielny kapitan wymyślił wcześniej się kłaść spać i długo przebywać w łóżku. Uznano go coppersmithem za leniucha, ale on wkrótce wstawał z łóżka i przystępował do luzowania głązów w murze zewnętrznym. Miał na to dużo czasu, także na to, by zacierać ślady. Długo, bo długo to trwało, ale praca posuwała się naprzód. Lux tak wyliczył tempo, iż wyjście było gotowe na Boże Narodzenie. Termin wcale nie przypadkowy. Kapitan liczył, że w czasie świąt ich atmosfera osłabi czujność, pozwoli mu jeszcze dłużej "spać" nie będąc niepokojonym przez strażników - jedyna okazja! Minęły pierwsze dni świąt 1911 r. i wreszcie późnym wieczorem 27. grudnia więzień czy też jeniec (zważywszy na jego wojskową misję) przecisnął się przez dziurę, spuścił ukreconą linę i wylądował u podnóża murów od strony miasta. Ruszył przed siebie, a że był w końcu wywiadowcą i to wysokiego stopnia - szukaj wiatru w polu! Alarm został wszczęty blisko południa następnego dnia, kiedy uciekinier był już daleko. No i oczywiście nikt nie wpadł na jego trop. Lux szczęśliwie przedostał się przez całe Niemcy, cało i zdrowo wracając do domu.

Morał z tych opowieści jest taki: nawet najgrubsze mury nie zatrzymają, gdy serce i ciało rwą się do wolności. Warto o tym pamiętać.

PRZYPISY

1. Z. Szymankiewicz: Wielkopolskie akcenty w Kłodzku. Na Szlaku 1990, 4, 2, s. 1, 18.
2. J. Janacek: Śmierć Wallensteina. Katowice: Śląsk 1976.
3. A. Bernatzky: Lexikon der Grafschaft Glatz. Leimen: Marx Verlag 1984, s. 68.
4. J. Sakwerda: Kłodzki proces o zdradę. Inf. Krajozn. 1986, 42, s. 37-41.
5. E. Köhl (Kurka): Glatzer-Festungs-Geschichte. Leiman: Marx Verlag (po 1972), s. 25-33.

6. W. Hugo: Rok 93.

7. Merkwürdige Lebensgesichte des Friedrich Freiherrn von der Trenck. Hrsg. E. Cyran.
Berlin 1966.

8. Köhl, op. cit., s. 49-53.

9. ibidem, s. 38-40.

KOPALNIA WĘGLA BRUNATNEGO "BABINA".

KWB "Babina" w Łęknicy koło Żar przechodziła różne koleje losu. Początkowo szyb "Babina" składał się z trzech odrębnych jednostek (pól) należących do różnych towarzystw niemieckich. Wszystkie one działały niezależnie od siebie. Właścicielem szybu "Babina" (Grube "Babina") był Graf von Arnim'sche Waldgutstiftung, zaś dzierżawcą Babina Braunkohlenverwertung GmbH Muskau O.L. Pierwszy węgiel wydobyto tutaj w roku 1922. W latach 1935-39 wydobywanie ustabilizowało się na poziomie około 225 tysięcy ton rocznie (z odbudowy podziemnej). Jednocześnie cztery czynne prasy wytwarzały 75.500 ton brykietów. Pracowało tam wówczas 208 pracowników, w tym 14 techniczno-administracyjnych. W eksploatacji były upadowe "0", I, II, III, IV. jednak na upadowych "0" i III wybieranie węgla zakończono już w roku 1943. Trzeba tutaj nadmienić, że węgiel ten wykazywał skłonności do samozapłonu, co było znacznym utrudnieniem podczas eksploatacji podziemnej.

Kolejną jednostką to "Pole Środkowe", dawniej Tschepelner Braunkohlengruben. Początkowo jego właścicielem był Tschepelner Werke Aktiengesellschaft in Birkenstadt Kreis Rothenburg. Tutaj wydobywanie rozpoczęto dużo wcześniej, bo w roku 1874, osiągając przed II wojną światową około 334 tysięcy ton rocznie. W okresie tym węgiel uzyskiwano z odbudowy odkrywkowej i podziemnej (czynna była odkrywka i dwie upadowe). Załoga liczyła 416 osób razem z 11 pracownikami umysłowo-technicznymi i 17 administracyjnymi. Z obowiązku podam jeszcze, że do wspomnianego wyżej towarzystwa należała także elektrownia i cegielnia. Oba te zakłady uległy zniszczeniu w czasie działań wojennych.

Trzecia a zarazem ostatnia jednostka to "Pole Północne" (Grube "Victor"), dawna własność Grube Victor GmbH in Triebel. Wydobywanie węgla rozpoczęto tutaj w roku 1898. Przed II wojną osiągnęło ono rocznie około 110 tysięcy ton. Eksploatację prowadzono zarówno z odkrywki jak i jednej upadowej (wydobywanie głębinowe). Na 100 pracujących w niej osób w administracji zatrudniano 5.

W latach wojny 1939-45 pracowali tutaj Polacy przywiezieni na roboty przymusowe. I tak na szybie "Babina" było ich 22, a na "Polu Środkowym" około 80-ciu.

Aby celowe było wydobywanie węgla musieli być jego odbiorcy. W tym wypadku węgiel odbierały elektrownia w Nowych Czaplach, zakłady ceramiczne, huty szkła, oraz inne okoliczne obiekty przemysłowe, czy wreszcie ludność tu zamieszkała.

W październiku 1945 roku powstało w Żarach Zjednoczenie Przemysłu Węgla Brunatnego, któremu podlegały następujące kopalnie: Lubań, Kaławsk, Henryk, Maria, Babina, Smogóry, Sieniawa, Konin, Turów. Zjednoczenie objęło również swoim zasięgiem brykiotownie: Lubań, Babina, Smogóry i Konin, oraz kilka innych zakładów. W tym też czasie podjęto prace potrzebne do uruchomienia kopalni "Babina", "Henryk" i "Maria". A trzeba wiedzieć, że tereny wokół tych kopalń były silnie zaminowane, upadowe przeważnie zatopione, zabudowania w większości spalone. Brakowało zarówno materiałów jak i rąk do pracy. Nie było połączenia kolejowego ani telefonicznego. Jedynym środkiem transportu jaki wówczas nadawał się do wykorzystania był samochód ciężarowy "Opel-Blitz". A żeby nie były to puste słowa podam, że podczas prac oczyszczających na terenie kopalni "Babina" zginęło kilku pracowników rozerwanych przez miny. Dzięki jednak ich poświęceniu i pracy całej załogi pierwsze tony węgla wydobyto już pod koniec 1945 roku. Początkowo pracowali tu zarówno Niemcy jak i Polacy. Później się to zmieniło. W roku 1946 połączono kierownictwa grup organizacyjnych szybu "Babina" i "Pola Środkowego". Powstał w ten sposób nowy zakład o nazwie "Babina" zatrudniający około 430 pracowników. Ponieważ jednak nie było komunikacji kolejowej wydobyty węgiel składowano w tamtym roku na hałdy. Oprócz wydobywania z upadowych II i III-B prowadzono także prace przygotowawcze na starej odkrywce w Czaplach, gdzie pierwszy węgiel wydobyto już w roku następnym. W roku 1950 wyczerpano złoża na odkrywce. Wcześniej jednak, po uprzednim odwodnieniu, uruchomiono inne upadowe. Rozpoczęto również wydobywanie węgla na odkrywce "Pole Środkowe" (1947). W roku 1949 rozpoczęto zdejmowanie nadkładu oraz eksploatację węgla na odkrywce "A". Rok później zakończono roboty na "Polu Środkowym", a w roku 1950 rozpoczęto prace wiertnicze mające na celu rozeznanie i udokumentowanie złoża "Łuku Mużakowskiego".

Właściwie powinienem nieco wrócić, gdyż jak dotąd nie przedstawiłem jeszcze rysu geologicznego terenu, na którym usytuowana jest kopalnia "Babina". Złoże węgla występowało tutaj w strefie sfałdowań "Łuku Mużakowskiego", o kształcie rozwartej podkowy o długości 40 kilometrów a szerokości od 3 do 6 km. Miąższości pokładu węglowego, uformowanego około 30 milionów lat temu, wynosiła średnio 10 metrów. Głębokość zalegania pokładu wahała się od 1 metra na wychodzie do 150 metrów w partiach centralnych. Obliczone zasoby, bez zasobów wyeksploatowanych do roku 1960, oczywiście w polskiej części "Łuku", wynosiły około 100 milionów ton (do głębokości 50 metrów).

Podam tu od razu, że złoże eksploatowane przez szyb "Henryk" (jeszcze o nim nie pisałem) zwane "Zaburzeniem Żarskim" to wschodnie przedłużenie "Łuku". Występujący w nim pokład węgla brunatnego o miąższości średnio 4 metry, był rozczłonkowany na 35 wąskich i długich łusek - synklin o szerokości 120-200 metrów. Głębokość zalegania pokładu wahała się od pół metra na wychodach do siedmiu i pół metra w partiach osiowych łuski. Tutaj zasoby obliczono na około 10 milionów ton, również licząc bez zasobów wyeksploatowanych do roku 1960. Wspomnę tylko iż szyb "Maria" (także nie wspominałem o nim do tej pory) służył do wydobywania węgla leżącego od 3 do 4 metrów. Piszę służył ponieważ złoże zostało wyeksploatowane w roku 1959.

Pora już wyjaśnić co mają wspólnego z "Babiną" szyby "Henryk" oraz "Maria". Otóż szyby te jako odrębne kopalnie podlegały w latach 1945-50 (do maja) Zjednoczeniu Przemysłu Węgla Brunatnego w Żarach. W roku 1950 ZPWB przeniesiono do Wrocławia, a kopalnie wchodzące w jego skład stały się przedsiębiorstwami samodzielnymi. Wówczas to powstały kopalnie "Henryk-Maria" i "Babina". Dyrekcja tej pierwszej miała siedzibę w Mirosławicach Górnych, a drugiej w Łęknicy. Wróćmy może jeszcze do czasów przedwojennych. Kopalnia "Henryk" - dawniej "Augusta" - była własnością firmy Braunkohlengrube "Augusta" GmbH w Żarach. Początkowo był to kilka szybów położonych na terenach przyległych do wsi Olbrachtów w powiecie Żary. Początki wydobywania sięgają 1875 roku, jednak na większą skalę prowadzono tu eksploatację dopiero po roku 1911. Do 1945 roku uruchomiono szyb "Albrecht" (późniejszy szyb X), "Minna" oraz "Scharf VI" (szyb IX). Oprócz tego do kopalni "Augusta" należały szyby "Teresa" (szyb VI i VII) położone na gruntach przyległych do gromady Mirosławice Dolne. Szyby "Teresa" głębokie na 30 metrów, o średnim dziennym wydobywaniu 100 ton, czynne były od roku 1933. Natomiast wszystkie wyżej przedstawione miały głębokość 30-120 metrów, a średnie z nich wydobywanie wynosiło około 80 ton na dobę.

W latach późniejszych, to jest 1932-44 uruchomiono tu (w Kunicach Żarskich) szyby I, II, III, IV, V, VIII, IX, X, oraz "Qvos". Eksploatację szybów VI i VIII zakończono w roku 1945. W skład kopalni "Henryk" (tej powojennej) wchodziła kopalnia "Conrad" podlegająca kiedyś przedsiębiorstwu Gewerkschaft Conradigrube Conradi Pachtfeld-Niederhartmannsdorf. Po wojnie kopalnia "Konrad" dysponowała zespołem szybów położonych w rejonie miejscowości Witoszyn (Twardowice) koło Żagania. Mimo, że nadanie pola górniczego kopalni miało miejsce w roku 1877 to wydobywanie rozpoczęto dopiero przed rokiem 1910. Początkowo część pola górniczego była dzierżawiona przez Waltera Otto - właściciela cegielni Twardowice. Trzeba bowiem wiedzieć, że cały ówczesny urobek węgla był zużywany przez tą właśnie cegielnię. W roku 1930 wydobywanie roczne wyniosło tutaj 2.900 ton. W roku 1941 rozpoczęto wydobywanie na ostatnim szybie. Zakończono je w roku 1951. Według przekazów w latach 1918-39 eksploatowano złoża w miejscowości Kunice Żarskie. jednak historia tego wydobywania nie jest dobrze znana. Aby zakończyć muszę jeszcze wspomnieć o elektrowni "Łoza" odbierającej później część urobku z kopalni, oraz brykietowni.

Kopalnia "Maria", dawna "Emma", była własnością firmy Gewerkschaft "Emma" Braunkohlengrube w Zielonej górze. Eksploatowała ona tereny na gruntach gromady Nieciech i Bielice w powiecie Kozuchów. Początkowo węgiel wydobywano systemem odkrywkowym (od roku 1921), a następnie głębinowym, poprzez szyby "Julius" i "Kurz Gustav" o głębokości 23 metrów. W roku 1944 udośćpniono szybem "Barbara" o głębokości 29 metrów nowe złożo. Koniec eksploatacji w tym szybie nastąpił w lipcu 1954 roku. Wydobywany przez tą kopalnię węgiel brunatny był wykorzystywany zarówno na potrzeby okolicznej ludności jak i przez zakłady przemysłowe z Kozuchowa i Nowej Soli. W miejscowości Słone niedaleko Zielonej Góry eksploatowano aż do przelomu lat 1948/49 złożo na potrzeby miejscowej elektrowni.

Ale przejdźmy teraz do okresu po II wojnie światowej, kiedy to uruchomiono ponownie kopalnię "Henryk". Roboty górniczo-eksploatacyjne prowadzono tutaj, do ustania działań wojennych, na upadowych I, II, III, IV, V, VII, IX, oraz na szybach X, XI, "Konrad", XIII,

XIV, XV. Prace te były bardzo uciążliwe, gdyż oprócz dużych odległości pomiędzy polami wiele trudności nastręczało nieregularne zaleganie pokładu węglowego, ciśnienie górotworu oraz wylewy kurzawek. Dlatego też postawiono wówczas sobie za cel szybkie wyeksploatowanie najbardziej oddalonych upadowych i szybków, tak aby skoncentrować roboty na jednym rejonie. Może do wspomnianych tu trudności dorzucę jeszcze pożar szybu VII ("Teresa") w roku 1945.

Jeśli chodzi o prace przy uruchamianiu kopalni "Maria" to przebiegały one nieco łagodniej, co nie znaczy że zupełnie bez kłopotów. We wrześniu 1946 roku odwodniono zatopiony szyb "Barbara". W marcu następnego roku miała miejsce powódź grożąca ponownemu zatopieniu tego szybu. Szyb "Barbara" wogóle miał "szczęście" do wody. W lutym 1949 roku nastąpił w nim silny wylew kurzawki ze spągu chodnika wodnego. Rok później rozpoczęto budowę upadowej zwanej "łańcuchową". Ponieważ w latach 1950-52 kopalnie "Henryk-Maria" i "Babina" miały duże trudności zaopatrzeniowe, finansowe, organizacyjne, a nawet braki w obsadzie, regularnie nie wykonywały planów wydobywania. Dlatego też w roku 1952 połączono je w jedno przedsiębiorstwo o nazwie Kopalnia Węgla Brunatnego "Przyjaźń Narodów" z dyrekcją w Żarach. Podjęto wówczas prace zmierzające do ustabilizowania załogi oraz procesu wydobywczego. Zbudowano więc odpowiednią bazę produkcyjną co pozwoliło na zabezpieczenie planowanego wydobywania węgla i produkcję brykietów. Nie będę tu wyliczał corocznego wydobywania węgla, bo nie o to chodzi. Niemniej muszę stwierdzić, że było ono różne. Wpływ na to miało wiele czynników. Ale najważniejsze z nich to wyeksploatowanie poszczególnych złóż i zakończenie działalności eksploatacyjnej na niektórych upadowych i odkrywcach. W związku z takim stanem rzeczy budowano i oddawano do ruchu nowe obiekty.

Z późniejszych lat należy odnotować takie wydarzenia jak zatopienie bądź podtopienie upadowych XXII, XXIV, XXVI, XXVIII na szybie "Henryk". Było to wynikiem nadmiaru wody pochodzącej z opadów atmosferycznych mających miejsce w dniach 27-30 maja 1961 roku. Akcję przeciwpowodziową rozpoczęto natychmiast. Oprócz pracowników kopalni udział w niej brali żołnierze Wojska Polskiego oraz oddziały straży pożarnej.

W drugim półroczu 1961 roku przeprowadzono próby produkcji brykietów przystosowanych do potrzeb przemysłu szklarskiego. W roku 1962, w związku z pomyślnymi wynikami tych prób, wprowadzono ciągłą produkcję brykietów zwanych połówkami. Miało to miejsce 10 maja. Był to asortyment nie produkowany do tej pory nigdzie w kraju.

Tak jak w szybie "Babina" prace utrudniały liczne kurzawki, tak na odkrywcach "Czaple II" ciężka sytuacja wytworzyła się w październiku 1962 roku na skutek obsuwu skarpy nadkładowej. W dniu 27 marca 1964 roku, po długotrwałych opadach atmosferycznych, nastąpiło podtopienie "filara słonecznego" na upadowej VI, oraz obsuwu skarpy nad wyrobiskiem. Nieco ponad miesiąc wcześniej na odkrywcach "C" nastąpił obsuw mas spągowych (na odcinku 50 metrów) których część zsunęła się na odkryty węgiel - przysypując go. Mimo to 21 lipca 1946 roku nastąpiło oficjalne przekazanie do ruchu nowo wybudowanej odkrywki "C".

W roku 20-lecia kopalni, to jest 1965, wydobywanie z szybu "Henryk" oparte było na 7 upadowych. Na szybie "Babina" eksploatowano odkrywkę "C" i dwie upadowe. 1 czerwca zdecydowano o likwidacji szybu "Henryk". Postanowiono, że jego eksploatacja zostanie

zakończona w I-szym kwartale następnego roku. Stało się tak 30 kwietnia 1966 roku. Z tym, że maszyny i urządzenia demontowano do początku roku 1967. Z okazji jubileuszu wydano znaczek okolicznościowy oraz monografię kopalni.

W związku z likwidacją szybu "Henryk" i skoncentrowaniem wydobycia na szybie "Babina" ("Przyjaźń Narodów") przeniesiono dyrekcję z Żar do Łęknicy. Ponieważ wciąż pogarszała się zdolność produkcyjna zakładu ułożono program utrzymania zdolności produkcyjnej w latach 1966-70. Wprowadzono też do ruchu zwałowarkę oraz dokonano różnych cięć oszczędnościowych

W roku 1967, w związku z brakiem zbytu, ograniczono nieco wydobycie. Kolejne zmniejszenie wydobycia węgla nastąpiło po kilku obsunięciach skarp nadkładowych. 30 stycznia, wskutek zerwania liny w zwałowarce i przerw w dostawie prądu, zostały podtopione wyrobiska upadowej VIII i IX. Natomiast 14 listopada wybuchł pożar na brykietowni, który objął swym zasięgiem suszarnię, chłodnię, ślimak, cyklon i przewody odpylające.

Rok 1968 był, mimo wykonania planu produkcji, bardzo trudny. Wystąpiły liczne obsuwy skarp nadkładowych. Na dole wprowadzono zmechanizowaną odstawę przodkową przy pomocy krótkich przenośników zgrzebielowych. 21 maja na upadowej VIII powstał pożar, który ugaszono dopiero po dwóch dniach. Wcześniej, bo 5 lutego zakończono eksploatację węgla na odkrywce "C".

Łącznie w okresie 1963-68 z odkrywki tej wydobyto 1.108.468 ton węgla.

Kolejne większe klęski miały miejsce w roku 1970. W tym samym roku uruchomiono sprzedaż drobnicową oraz dostawy węgla dla brykietowni "Kaławsk". 3 maja ogień z pola pożarowego upadowej VIII przedostał się do czynnych wyrobisk. Wstrzymano wówczas wszelkie roboty górnicze w tym rejonie. Prowadzono jedynie akcję ratowniczą.

Z okazji jubileuszu 25-lecia kopalni wydano medal okolicznościowy oraz urządzono salę historii.

Ponieważ działalność górnicza nie może trwać wiecznie, po wyeksploatowaniu złoża podjęto decyzję o zaprzestaniu działalności produkcyjnej z dniem 31 grudnia 1973 roku. W związku z tym 28 grudnia odbyła się ostatnia Konferencja Samorządu Robotniczego. Podziękowano wtedy wszystkim za wspólną pracę. Tak więc kopalnia "Babina", jednoczona i dzielona, zmieniająca nazwy, po 28 latach wydobywania węgla (w okresie powojennym) przestała istnieć. W czasie jej istnienia wydarzyło się kilka wypadków śmiertelnych, ale tylko jeden był spowodowany zarwaniem się stropu.

W roku 1973 zamknięto pewien rozdział w historii związanej z wydobyciem węgla brunatnego w rejonie Żar. A mimo iż przedstawione kopalnie były niewielkie, w porównaniu np. do "Turowa", to ich praca była nie tylko ciekawa i warta poznania, ale bardzo ważna dla wszystkich mieszkających na tych ziemiach. Ciekawa zaś przede wszystkim dlatego, że wszyscy przyzwyczailiśmy się do wielkich odkrywek. A tym czasem nie tak dawno temu węgiel brunatny wydobywano metodą głębinową. Na koniec muszę podać jeszcze, że wszystkie informacje jakie podałem pochodzą głównie z kronik kopalnianych, które po ich zlikwidowaniu przekazano kopalni "Turów", oraz są one wynikiem licznych rozmów jakie przeprowadziłem z ludźmi kiedyś tam pracującymi.

GROMNIK

Od czasu gdy zaczęto organizować wycieczki dłuższe od jednej mili od miasta, ulubionym celem krótkich podróży obok Ślęzy, stał się Gromnik. Warto więc bliżej przyjrzeć się tej górze, ciekawej pod niejednym względem, otoczonej piękną okolicą i rozlegającym się z niej widokiem.

Gromnik - o wysokości 393 m n.p.m. jest najwyższym wzniesieniem Wzgórz Strzebińskich, rozciągających się między Olawą na zachodzie i Krynką na wschodzie. Choć w swej wyższej części góra ta wznosi się stromo, droga do niej od Strzelina jest wygodna, bo prowadzi trawersami; o wiele trudniejsze są wejścia prowadzące od wschodu i południa.

Wzgórze Strzebińskie w przeważającej części zbudowane są z gnejsów, natomiast najwyższe ich wzniesienie utworzone jest z granitu, który wychodzi na powierzchnię także w Strzelinie, i który jest tam eksploatowany. W kamieniołomach znajdujących się w Jelowej na nizinie leżącej na północny-wschód od Gromnika, wydobywa się tutek kwarcytowy. Choć miękki i łamliwy, jest on ognio odporny i używa się go do wykładania wielkich pieców. Jeszcze dalej w dolinie koło Przeworna znajduje się kamieniołom marmuru, eksploatowany od XVII w. do 1945 r. Z tego marmuru wykonane są m.in. liczne ołtarze w klasztorze w Henrykowie. Jeszcze w latach osiemdziesiątych ub. wieku wydobywano tu ogromne bryły marmuru, później był on eksploatowany i wypalany w dwóch znajdujących się w pobliżu wapiennikach, dla celów budowlanych i rolniczych. Okoliczne tereny zalega dobra ziemia pszeniczna oraz duże pokłady gliny, wykorzystywane kiedyś przez liczne cegielnie. Przy wierceniach studzien natrafiono na głębokości 70-90 m na pokłady węgla brunatnego.

Z tego miejsca pruski sztab generalny rozpoczął na początku XIX w. kartograficzne pomiary Śląska. Zasadnicza linia odniesienia znajdowała się między wsiami Księżyce i Chomętowo, najbliższym punkcie triangulacyjnym był Żeleźnik, którego zamek wychylał się ponad zieleni lasu, a Ślęza i Gromnik stanowiły dalsze punkty triangulacyjne. W środku dachu wieży widokowej stał drewniany cokół, który stanowił podstawę dla lunety triangulacyjnej.

Nazwa góry do 1945 r. - Rummelsberg - brzmiała humorystycznie, ale taką nie była. Nie ma bowiem nic wspólnego ze słowem Rummel-harmider, lecz pochodzi z czeskiego = chroma = tj. piorun, burza, grzmot. W latach 40- ub. wieku góra nazywała się jeszcze Ruhmsberg, wcześniej Romsberg, a wieś u jej stóp - Krzyżna, miała nazwę Crummendorf, a jeszcze dawniej - Chromendorf.

A dlaczego Gromnik nazywano Górą Pogody, widać przy burzy zbliżającej się od zachodu. Choć niewielkie to wzniesienie, starczy ono by burzę zatrzymać całymi godzinami, jak klin rozdziela ona chmury, które omijając ją na północ i na południe, schodzą się dopiero koło Grodkowa. Jeśli burza się nie wyszalała, wraca do góry, a jeżeli od razu wymusi przejście od zachodu, należy do najcięższych.

Nie należy zaś pochodzenia nazwy góry upatrywać w dawnym miejscu kultu Donara, boga grzmotów, ponieważ nie znaleziono żadnych takich śladów. Okolice ta była słowiańska, na co wskazuje dużo nazw miejscowości: Strelyn - wieś strzelców (Strzelin), Prieborn - przybora (Przeworno). Pod górą leżące miejscowości: Podiebrad - obecnie Gęsiniec, i Huussinetz - Gościęcice, były osiedlami husyckimi. Jeszcze na początku XX w. mówiło się tu więcej po czesku, a słabo po niemiecku. Okolice ta od dawna była gęsto zaludniona, o czym świadczą odkryte cmentarzyska, których powstanie określa się na podstawie znajdujących w nich naczyń, na pierwsze wieki naszej ery.

Te czasy słabo rozjaśnione przez wspomniane znaleziska oddziela długi okres do powstania zamku, który kiedyś koronował szczyt góry. W twierdzy tej panoszyli się kiedyś dzicy rozbójnicy, którzy wędrowców - od biednego czeladnika do bogatego wrocławskiego hurtownika - pozbawiali troski o swą mamonę. Tak mówi podanie.

Faktem jest, że w tych dzikich czasach, stępujących po plądrowaniach husytów, przy braku wszelkiej władzy w państwie dla zapewnienia bezpieczeństwa własności i życia, zbudowali ten zamek osiedleni na Siedmiolawicach bracia Czirnowie. Właściciele dóbr ziemskich, tzn. szlachta polska na Śląsku, i mieszczenie wraz z duchowieństwem, którzy przedstawiali element niemiecki, zderzyli się w dochodzeniu swych przywilejów, a ponieważ w bezwładnym wówczas państwie nie można było dochodzić swych praw, obie strony chwyciły za broń i rozstrzygały spory mieczem. W 1439 r. księżna legnicko-brzeska zezwoliła braciom Czirnóm na budowę. Już jednak w końcu lipca 1443 r., pod nieobecność właścicieli, którzy zostawili tu jako straż kilku przyjaciół, mieszczenie pod dowództwem księcia opawsko-ziębickiego Wilhelma, zajęli zamek. Zwycięstwo to było triumfem całego kupiectwa wrocławskiego, bo ono poniosło najwięcej kosztów w tej wyprawie. Twierdzę zrównano z ziemią. Pozostały resztki potrójnych wałów, zbudowanych z luźno ułożonych kamieni, między którymi szpary wypełnione były ziemią. Niezwykłym dla owych czasów śladem były ostre krawędzie baszty (nie utworzone przez ukształtowanie góry), na podstawie czego można przypuszczać, że fortyfikacje pochodzą z wiele późniejszego okresu, może z czasów wojny siedmioletniej. W 1761 r. Fryderyk II obozował pod Strzelinem, część jego armii w Romanowie, Gościęcicach i Kuropatniku, więc też możliwe jest, że górę lekko umocniono przeciw Austriakom stojącym w Henrykowie.

W latach 60. ub. wieku zbudowano drogę do wieży poprzez wały, znaleziono podobno przy tym w ziemi szkielet w pancerzu, z bronią.

Jak wspomniano, Fryderyk II w październiku 1761 r. kwaterował we wsi Wojstawice, przylegającej do Strzelina. Tu król pruski wskutek zdrady, o mało co nie wpadł w ręce Austriaków. Gdy wieść o zaplanowanej, a nie udanej zdradzie obiegła Europę, wszędzie ją potępiono, a rząd austriacki w ostrych słowach wypowiedział się przeciw wszystkim biorącym udział w tej akcji.

Okolo 400 lat po wybudowaniu zamku, były dzierżawca dóbr Charite-Krüger, wznosił na nie uszkodzonych fundamentach dawnego stołpu nowa wieżę. Wkrótce, na skutek dewastacji, na zlecenie policji wieżę zamknięto. W końcu, ze względu na zwiększanie się z roku na rok liczby zwiedzających, urządził tu restaurację.

• • •

Artykuł opublikowany w 1903 r. przez Wyd. M. Woywody w : "Bunte Bilder aus dem Schlesieland" - tłumaczyła L. Panster, po polsku starał się napisać E. Rachwalski

WYBORY DO SEJMU W 1947 R. NA DOLNYM ŚLĄSKU.

W latach 1946-47 byłem prezesem Akademickiego Koła Polskiego Stronnictwa Ludowego we Wrocławiu. Prowadziliśmy wówczas szeroką działalność polityczną nie tylko na uczelniach wrocławskich, lecz również ogólną we Wrocławiu i województwie, szczególnie w kampaniach przed referendum w czerwcu 1946 i wyborami w styczniu 1947 r. Ostatnio czytałem Marka Ordyłowskiego "Życie codzienne we Wrocławiu 1945-1948", przyczym uderzyło mnie w rozdziale "Życie polityczne" stwierdzenie, że PSL wybory musiało przegrać, bowiem nie miało wówczas żadnych szans. Autor wspomina, że stosowano wówczas wobec PSL wszystkie dozwolone i niedozwolone metody. Wg tego co ja pamiętam podstawową metodą było po prostu sfałszowanie wyników wyborów. Nie mam na to bezpośrednich dowodów, ale istnieją przesłanki wskazujące na to bardzo wyraźnie. Podstawową metodą było niedopuszczanie mężów zaufania PSL do prawie wszystkich obwodów głosowania w województwie. Wykorzystano do tego przepis ordynacji wyborczej żądający od kandydatów na mężów zaufania przedstawienia świadectw moralności, które miały wystawiać komendy MO. Na całym Dolnym Śląsku świadectwa takie otrzymało tylko czterech kandydatów na mężów zaufania. Tak się dziwnie złożyło, że dostali je tylko ci działacze, którzy byli przewidziani do obwodów, gdzie było bardzo dużo repatriantów z Francji członków PPR, niegdyś członków Francuskiej Partii Komunistycznej. W rezultacie mężowie zaufania PSL byli tylko w dwu obwodach w Wałbrzychu, jednym w Nowej Rudzie oraz w podwrocławskich Gniechowicach. Ja byłem właśnie jednym z tych czterech obserwujących wybory, właśnie w Gniechowicach. Mimo takiego doboru obwodu PSL uzyskało tu ponad 30% głosów i był to wg oficjalnych wyników głosowania najwyższy uzyskany przez PSL wynik. Dla mnie najbardziej zaskakującym był jednak opublikowany wynik głosowania w obwodzie we Wrocławiu na Biskupinie gdzie głosowali w większości studenci z domów akademickich z kompleksu domów ulic Kotsisa i Stanisławskiego, wśród których byli głównie studenci Politechniki i Wydziału Weterynarii w dużym procencie członkowie akademickiego Koła PSL.

i Związku Młodzieży Wiejskiej RP "Wici". Oficjalnie ogłoszono tu, że na listę "bloku" oddano tu ponad 90% głosów, choć samych działaczy związanych z PSL było tu więcej niż 10%. W dodatku trudno było uwierzyć, że ci sami studenci, którzy w maju 1946 w czasie strajku akademickiego będącego protestem przeciw rozpędzaniu siłą manifestacji studenckiej w Krakowie, jednogłośnie popierali stanowisko Akademickiego Koła "Wici" wzywającego do strajku, wbrew oficjalnym apelom trzech innych organizacji młodzieżowych, a to AZWM "Życie" związanym z PPR, NZMS związanym z PPS i ZMD związanym z SD, w 8 miesięcy później wypowiedzieli się zdecydowanie za blokiem, przeciw PSL. Warto tutaj przypomnieć przebieg strajku na Politechnice i Weterynarii. Po ogłoszeniu strajku na żadnym z wydziałów Politechniki i na Weterynarii nie odbywały się wykłady, bowiem nie przychodziło na nie nawet trzech studentów co wg ówczesnych zwyczajów akademickich było wymagane do prowadzenia zajęć. Kiedy natomiast po naradzie w Urzędzie Wojewódzkim z udziałem vice-wojewody, rektorów, przedstawicieli urzędu bezpieczeństwa, przedstawicieli działających wówczas partii politycznych i przedstawicieli młodzieży akademickiej tzn. działających na uczelni organizacji młodzieżowych, postanowiliśmy ok. 23-ej zakończyć strajk i rozjechaliśmy się do domów. Już następnego dnia o godz. 8-ej było na zajęciach 60-70% studentów na poszczególnych wydziałach, a o godz. 9-ej ponad 90%. Zawiadomienie w nocy o zakończeniu strajku nastąpiło przez działaczy "Wici" przede wszystkim w domach akademickich i jak widać skutek był natychmiastowy. Analizując te fakty nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wyniki w tym obwodzie zostały wyraźnie sfalszowane. Potwierdził to później jeden z działaczy Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, który był wówczas mężem zaufania PPS w tej komisji obwodowej, mówiąc że rzeczywisty wynik głosowania w tym obwodzie był odwrotny od opublikowanego. Niestety wówczas nikt oficjalnie nie miał odwagi tego powiedzieć, a zresztą nawet oficjalne protesty wyborcze PSL nie były wówczas wogóle rozpoznawane.

W związku z tą sprawą pamiętam jeszcze jedną rozmowę na temat wyborów 1947. otóż w czasie prowadzenia przeciw mnie śledztwa przez UB w 1950 r. w którym zarzucono mi początkowo organizację przerzutu posłów PSL za granicę, a później różne inne zbrodnie jak szpiegostwo, tzw. "szeptaną propagandę" i tp. przyszło również do rozmowy ze śledczym, którego nazwiska nie pamiętam, na temat wyborów. Powiedziałem wówczas, że wg. naszej oceny zostały wyraźnie sfalszowane, a jako dowód podałem fakt dopuszczenia mężów zaufania tylko w tych czterech obwodach, przesłuchujący mnie odrzekł, że oni dobrze wiedzieli gdzie PSL miało największe wpływy i właśnie do takich obwodów dopuścili mężów zaufania. Wówczas nie spierałem się z nim, wiedząc, że mogę się to stać materiałem przeciw mnie w przyszłym procesie, ale było to dla mnie dodatkowym dowodem sfalszowania wyborów, bo wskazało na wyraźne tendencyjne wydawanie świadectw moralności nie wg. wiedzy o osobach, których dotyczyły, ale wg obwodów do których dane osoby miały być skierowane.

GENEALOGIA NIEPIASTOWSKICH KSIĄŻĄT ZIĘBICKICH I OLEŚNICKICH

W bitwie w 1428 r. pod Cielętnikiem (obecnie St. Wielisław) poległ książę ziebicki Jan (ur. 1380-1390), syn Bolka III, wnuk Mikołaja, prawnuk Bolka II ziebickiego i praprawnuk Bolka I świdnickiego. Z tą chwilą księstwo ziebickie przeszło bezpośrednio pod zarząd Korony Czeskiej. Politycznie zresztą podlegało ono czeskim królom od 29.08.1336 r. po holdzie lennym, złożonym przez Bolka II, który w zamian otrzymał w dożywocie Ziemię Kłodzką. Królem Czech został w 1458 r. umiarkowany husyta (stąd przydomek "husycki król") Jerzy z Podiebradów. Tenże na opróżnione lenna (wraz z 1/3 księstwa opawskiego) wprowadził 16.12.1465 r. swych synów. Po śmierci monarchy nastąpił 9.03.1472 r. podział całej ojcowizny pomiędzy czterech synów. Henryk I Starszy otrzymał księstwo ziebickie, miasto i zamek Ząbkowice Śląskie, zamek i miasto Kłodzko, zamek Gomołę (Homole) z dobrami, zamek i miasto Nachod z dobrami (głównie skalickimi), zamek Kuncicka hora z przyległościami - głównie klasztorem opatowskim. Wiktoryn otrzymał zamek i miasto Opawę, zamek Hradec w rejonie opawskim i zamek wraz z miastem Kolin nad Łabą. Henryk II przejął zamki Podiebrady i Kostomlat, zaś czwarty syn, Boczek - gratyfikację finansową. Henryk I dodatkowo objął w 1495 r. księstwo oleśnickie (łącznie z Wołowem). Związane to było z wygaśnięciem na Konradzie Białym Młodszym w 1492 r. linii Piastów oleśnickich.

Przez następne pokolenia Podiebradowiczowie jako bracia wspólnie zarządzili obydwooma księstwami. Po śmierci Karola I księstwem ziebicko-oleśnickim władali synowie, przy czym Joachim raczej nominalnie, gdyż w latach 1545-60 był np. biskupem brandenburskim. Od 1534 r. Bierutów stał się rezydencją jednej z linii. Córka ostatniego Podiebradowicza, obcego lecz także słowiańskiego bo czeskiego - rodu na Śląsku, Karola Fryderyka I, a to Elżbieta Maria, poślubiła księcia wirtemburskiego Sylwiusza Nimroda. W ten sposób księstwo oleśnickie jako wiano przeszło do rodu z głębi Niemiec. Już z tego małżeństwa było trzech synów, dla których wydzielono trzy dobra: bierutowskie, dobroszyckie i oleśnickie. Krystian Ulryk I

Jerzy z Podiebradów
od 1456 posiadacz ks. ziębicckiego

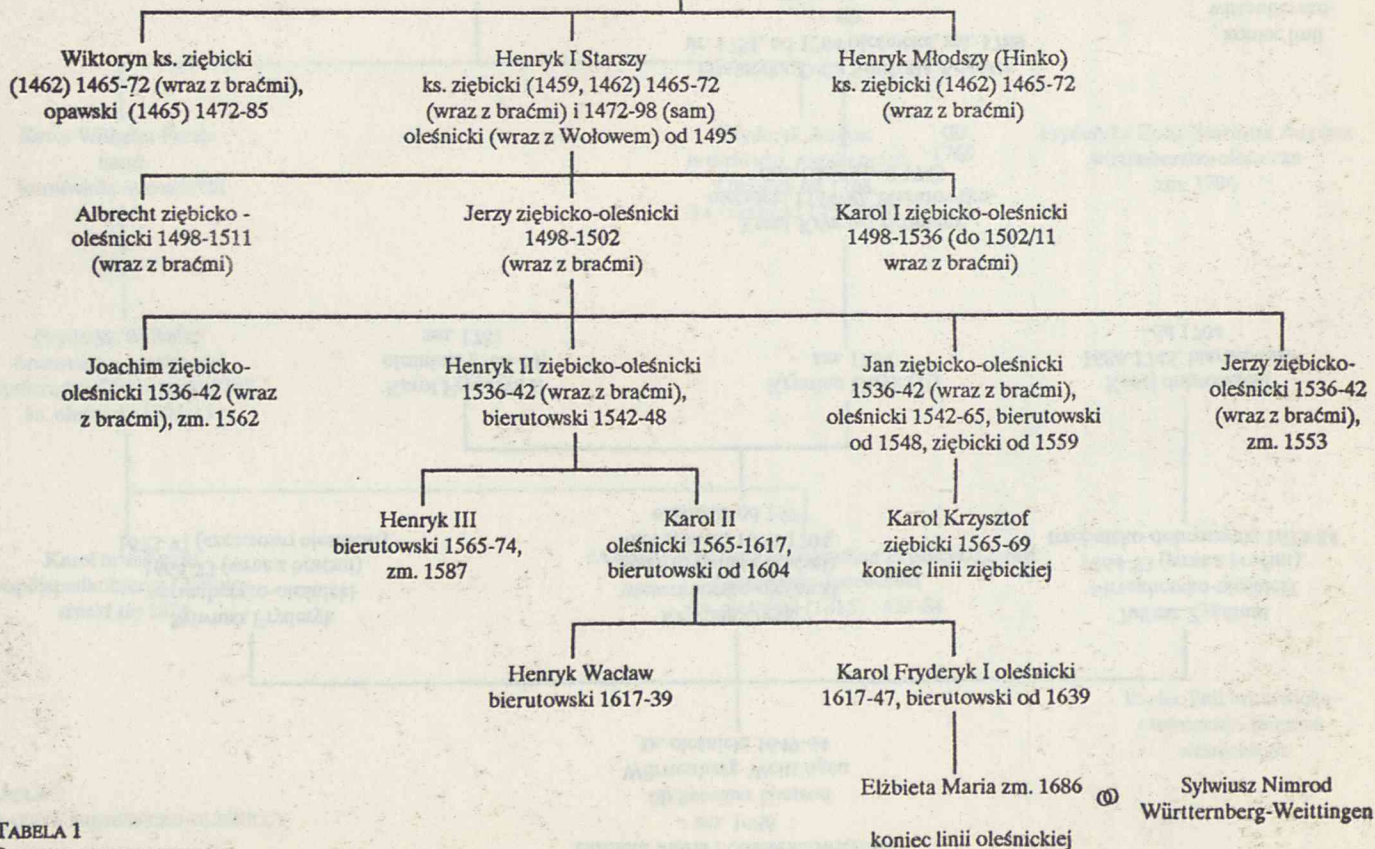


TABELA 1
PODIEBRADOWICZOWIE NA
OLEŚNICY, BIERUTOWIE I ZIĘBICACH

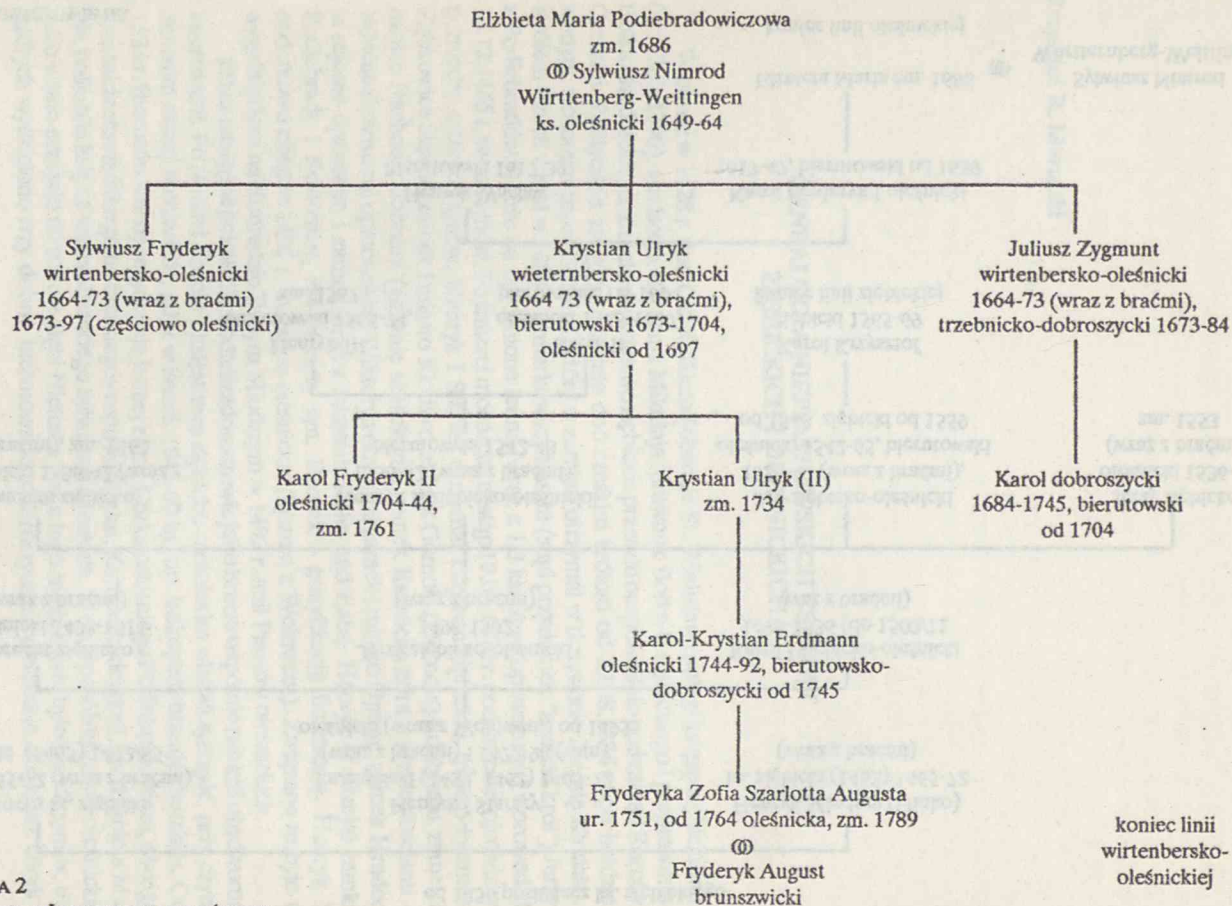


TABELA 2
KSIĄŻĘTA WÜRTEMBERSKO-OLEŚNICCY

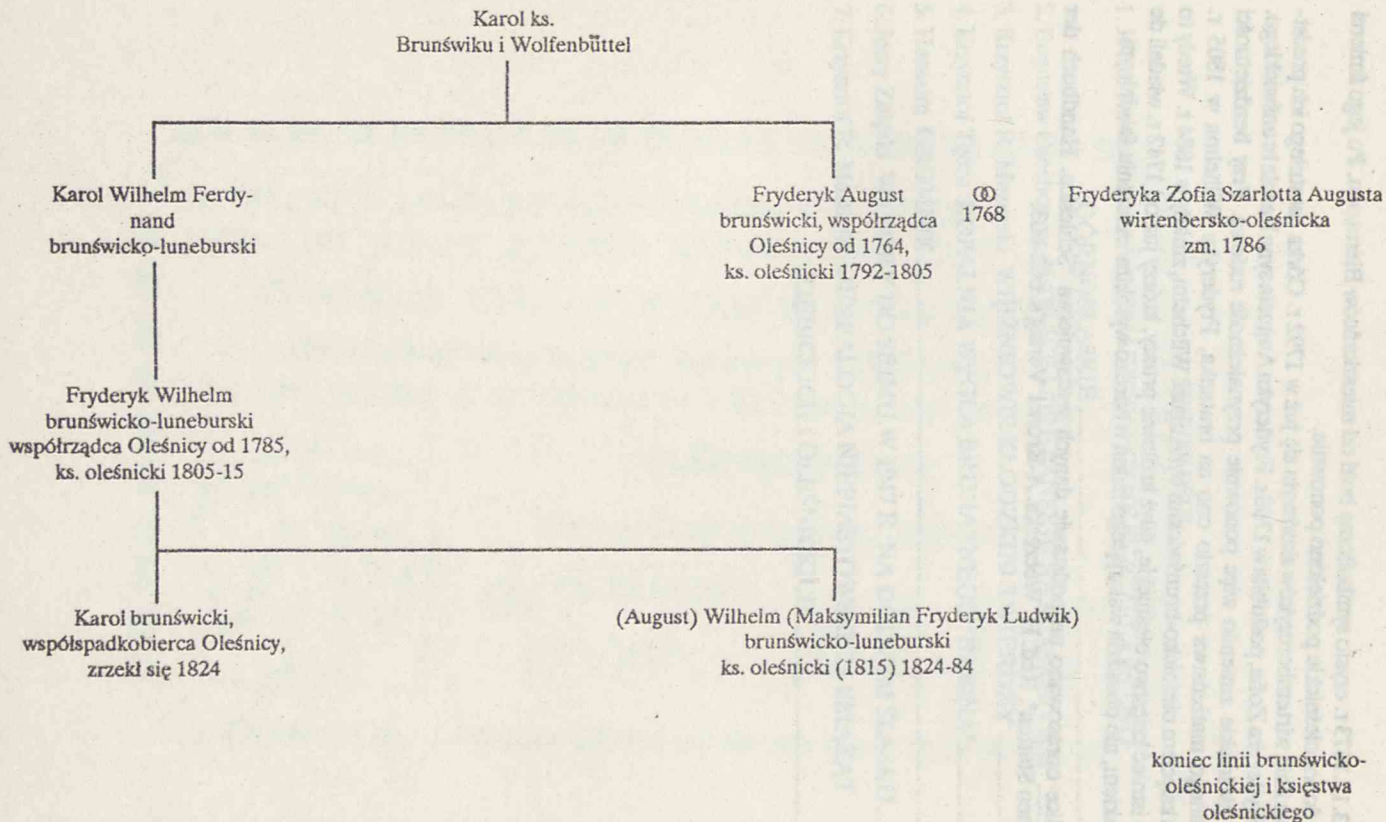


TABELA 3
KSIĄŻĘTA BRUNŚWICKO-OLEŚNICKI

odebrał 13.12.1673 r. czysto symboliczny hold od mieszkańców Bierutowa. Po jego śmierci w 1704 r. dobra oleśnickie podzielono ponownie.

Męska linia wirttemberczyków skończyła się już w 1792 r. Córka ostatniego ich przedstawiciela, Fryderyka Zofia, poślubiła w 1768 r. Fryderyka Augusta syna Karola brunświckiego. Księstwo oleśnickie zmieniło więc ponownie przynależność rodową. Przy bezdzietności wspomnianego małżeństwa przeszło ono na bratanka, Fryderyka Wilhelma w 1805 r. Ostatnim księciem oleśnicko-brunświckim był August Wilhelm, zmarły w 1884 r. Wtedy to przestało istnieć księstwo oleśnickie, gdyż królowie pruscy, którzy już od 1742 r. władali de facto Śląskiem, nie obsadzili wakującego lenna o bardzo wysokim znaczeniu feudalnym.

Tablice opracowano na podstawie danych wydawnictwa "Schlesien. Handbuch der historischen Statten". Red. H. Weczerka. A-Kroner Verlag s. 602-603.

SPIS TREŚCI

1. Julian Janczak DZIEWIĘTNASTOWIECZNE PSZCZELARSTWO GÓRNOŚLĄSKIE	3
2. Bogusław Czechowicz KAPLICE LORETAŃSKIE NA ŚLĄSKU. Cz. II	8
3. Krzysztof R. Mazurski WIĘŹNIOWIE KŁODZKIEJ TWIERDZY	21
4. Krzysztof Tęcza KOPALNIA WĘGLA BRUNATNEGO "BABINA"	28
5. Harazim GROMNIK	33
6. Jerzy Załęski WYBORY DO SEJMU W 1947 R. NA DOLNYM ŚLĄSKU	36
7. Krzysztof R. Mazurski GENEALOGIA NIEPIASTOWSKICH KSIĄŻĄT ZIĘBICKICH I OLEŚNICKICH	38



Oddział **PTTK**
Wrocławski

prawdopodobnie jest najlepszym
organizatorem

obozów i wycieczek: krajoznawczych, przyrodniczych, górskich,
kajakowych, narciarskich, pieszych i żeglarskich.

ZADZWOŃ NIEZWŁOCZNIE !! ZAPYTAJ !!!

Biuro: tel. 303-44; Wrocław Rynek-Ratusz 11/12

Biuro Usług Turystycznych i Handlu: tel. 383-31

400021